

Cena 50 gr.

REDAKCJA: LWÓW, JAKOBA STRZEMIĘ 8

I listopada 1936 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
23 NUMER PISMA

Sygnaly

miesięcznik • sprawy społeczne • literatura • sztuka •

KAZIMIERZ KRAUZ

NIEPODLEGŁOŚĆ NARODU I PROLETARJAT

Z przeszłości wydobywamy chlubne karty polskiej myśli postępowej, demokratycznej i socjalistycznej. Nawiązujemy duchową łączność z wielkimi pisarzami i myślicielami, których działalność i twórczość ulega powoli zapomnieniu — nieświadomemu, jeszcze częściej świadomemu. W numerze 20-tym „Sygnalów” ukazał się fragment z książki Stanisława Brzozowskiego „Kultura i życie”, w numerze 21-szym fragmenty z „Trybuny ludów” Adama Mickiewicza, w numerze 22-gim artykuł Stanisława Salzmanna „Oblicze społeczne Słowackiego”. Obecnie dajemy fragment z rozprawy Kazimierza Krauzy „Niepodległość Polski a materialistyczne pojmowanie dziejów”, która ukazała się w r. 1905 w redagowanym przez W. Feldmana miesięczniku „Krytyka”. Rozprawa ta została następnie przedrukowana w wydanej już po śmierci autora książce pt. „Wybór pism politycznych” (Kraków, 1907), jako pierwszy tom wydawnictwa „Życie”.

Kazimierz Krauz był najwybitniejszym polskim teoretykiem socjalizmu naukowego.

Demokracja i państwo narodowe są dla proletariatu tak samo niezbędnymi rzeczami, jak były dla burżuazji, z tą tylko różnicą, że proletarijat potrzebuje demokracji całkowitej, doprowadzonej do ostatnich konsekwencji, jaknajczystszej, gdy burżuazja może w pewnych warunkach pozostać na niewielkim stopniu demokracji, a nawet boi się większej jej ilości, i że burżuazja potrzebuje państwa narodowego, walczącego z innymi państwami o przewagę materialną i korzyści handlowe, proletarijat zaś — państwa narodowego, połączonego z innymi stosunkiem przyjaźni i wymiany materialnej i ideowej, trwałym pokojem, o ile możliwości — systemem związków. Proletarijat potrzebuje wolności i jedności narodu dla siebie samego już dlatego, że ona jedynie — oczywiście, zawsze przy demokracji — umożliwi swobodny obieg myśli między wszystkimi częściami i warstwami narodu, należyty, nietamowany rozwój oświaty i kultury, które są koniecznymi warunkami zwycięstw ekonomicznych i politycznych klasy robotniczej. Ale prócz tego ta potrzeba polityczna proletariatu zupełnie tak samo wpływa z potrzeb ekonomicznych jego i jest warunkiem niezbędnym ich zaspokojenia, jak potrzeba państwa narodowego była wynikiem dążeń ekonomicznych mieszczaństwa, tylko potrzeby i dążenia ekonomiczne są w obydwóch wypadkach inne, przedstawiają dwie różne kolejne fazy nowoczesnego rozwoju ekonomicznego. Burżuazja musiała zapewnić przemysłowi swobodę ruchów na znacznej politycznej przestrzeni i silną opiekę w stosunkach zewnętrznych, żeby produkcję wyprowadzić z powojaków średniowiecznych. Nastąpił jej olbrzymi rozwój, zapanowała maszyna i wielki kapitał, a z niemi straszna sprzeczność między społecznym charakterem sił wytwórczych a indywidualnym ich przywłaszczeniem i kierownictwem i wynikająca z tej sprzeczności, klęsk pełna, anarchja gospodarcza, której usunięcie przez zamięszone siły wytwórczych na własność społeczeństwa, całego społeczeństwa, nie jego cząstki, jest najbezpośredniejszym interesem i zarazem najwznioślejszym pełnomocnictwem dziejowem klasy robotniczej. A osiągnąć ten wielki cel może proletarijat jedynie przez całkowitą demokrację, zastosowaną do zjednoczonego i wolnego państwa narodowego, pokojowo i dobrowolnie — czyli znowu demokratycznie — połączonego z innymi państwami narodowymi. A to zaś dlatego, że państwo narodowe — jednolity obszar językowy, jest jedyną formą, w której może być urzeczywistnione społeczne kierownictwo produkcji. Przecież cała kula ziemiska, albo nawet cała Europa, są zbyt wielkie, żeby mogły być objęte scentralizowanym zarządem produkcji, układającym budżet zapotrzebowania wytworów i podział wytwórczości między poszczególne działy, miejscowości, warstwy; o wiele prościej odpowiada potrzebie uregulo-

wany traktatami system wymiany między samorządami jednostkami gospodarczymi, które jednak, jeśli nie mają zachodzić straty energii i powikłania, nie mogą być zbyt małe. Jedyną granicą naturalną jest tu — wspólność językowa. Pomijając już bowiem, że język jest i będzie zawsze pierwszym i niezbędnym narzędziem wszelkiego zarządu, trzeba pamiętać o tem, że cały system uspołecznienia środków produkcji i zarządu jej przez ogół oparty jest na zasadzie większości, tak samo, jak wogóle demokracja, której jest on tylko najkonsekwentniejszym zastosowaniem i do gospodarstwa publicznego. Otóż być może, że w dalekiej przyszłości zagadnienie współżycia ludzkiego przestanie być rozstrzygane drogą uznania przewagi woli większości nad mniejszością i powróci w nowej formie jakieś zasady jedynomyślności lub wzajemnej zgody, któreby odpowiadały „etyce bez sankcyj i bez zobowiązania”; bardzo być może, że już w pierwszych czasach ustroju kolektywistycznego zasada przewagi większości zostanie nieznacznie złagodzona, dzięki wyjęciu mnóstwa spraw natury duchowej i obyczajowej wogóle spod kompetencji społecznej i swobodnie dobrowolnego zrzeszania się dla najrozmaitszych celów; ale, ostatecznie, prawidłowy i spokojny obieg gospodarstwa publicznego nie może cbejść się bez instancji rozstrzygającej niezgodę zdań i pragnień, a tą może być tylko wola większości choćby w każdym wypadku innej, z innych osób złożonej (co stanowi zasadniczą i głęboką różnicę z dzisiejszym, parlamentarnym pojęciem większości). A demokracja polityczna, którą tymczasem jeszcze proletarijat zdobywać i urzeczywistniać musi, jeśli chce dojść w końcu do swego ideału — ludowładztwa ekonomicznego — w znacznie silniejszym jeszcze stopniu na zasadzie większości się opiera. Ta zaś zasada — i to jest jej właściwość bardzo ważna — jedynie wewnątrz jednego narodu stosowana być może. Prawdziwość tego twierdzenia każdy, zdaje się, odczuwa bezpośrednio; każdy zapytany np., czy wola dziesiątków milionów Anglików ma moc prawa dla setek tysięcy Boerów, odpowie bez namysłu przecząco. Ale to poczucie ma głębsze źródło i uzasadnienie. Znowu występuje tu rola języka, jako narzędzia obiegu myśli i wszelkich stosunków ludzkich. Mniejszość może uznać wolę większości, mówiącej tym samym językiem, co ona, dlatego, że przypuszcza, że możliwe jest porozumienie z nią, przekonanie się wzajemne, że jest coś wspólnego między nimi, jakiś wspólny mianownik, do którego sprządzają się dążenia większości i mniejszości, jakiś wspólny probierz, podług którego się je sędzi. I co tu mówimy, nie jest bynajmniej sprzeczne z teorią klasowości. Kasty starożytne, stany średniowieczne były od siebie ściśle wyodrębnione, były sobie obce, ze sobą niewspółmierne; pozostałości tego barbarzyńskiego stanu rzeczy widzimy jeszcze i dziś np. w stosunku rosyjskiego, lub czasami nawet galicyjskiego chłopca, do warstw miejskich inteligentnych, ale nie mają one nic wspólnego z nowoczesnym socjalno-demokratycznym pojęciem świadomości klasowej. Nowożytnie klasy są sobie przeciwstawne, a samo to, jak uczą logicy, już zawiera w sobie, że nie są one całkiem obce, że jest pewna wspólna miara, której zastosowanie wykazuje właśnie i sprawia, że się sobie przeciwstawiają. I istotnie, klasy nowoczesne przeciwstawiają się sobie i walczą z sobą dlatego, że obydwie (mam na myśli obydwie, o które przedewszystkiem idzie, burżuazja — w szerokim znaczeniu — i proletarijat) mają jeden i ten sam przedmiot myśli i widownię działania; obydwie, wobec nowoczesnej świadomości, że wszystko w społeczeństwie jest nawzajem zależne i nic się odosobnić nie da, dążą do rozwiązania ogólnospołecznego zagadnienia, do ukształtowania całego społeczeństwa podług swoich, właśnie przeciwstawnych, potrzeb i pojęć. Tego rodzaju walka musi opierać się na wymianie myśli, na sporze — a więc często i na przekonywaniu,

w znacznej części — na porywaniu, pociąganiu za sobą bezpośrednio do danej klasy nie należących żywiołów — o czym wszyscy socjalni demokraci w całym świecie dobrze wiedzą. Gdyby celem, albo choćby środkiem nowoczesnego ruchu społecznego była żakierja średniowieczna, prosta rzeź tyranów, to fakt wspólności języka mógłby być dla niego zupełnie obojętny. Skoro jednak idzie o przekształcenie prawne całego społeczeństwa dla dobrego normalnego funkcjonowania, to, niezależnie zupełnie zresztą od pokojowego lub krwawego przebiegu tego przekształcenia, pewna ogólna idea dobra społecznego, mogąca w zasadzie być wspólną, musi koniecznie tkwić w ruchu, pomimo jego klasowości, a raczej właśnie dlatego, że klasowość ta jest nowoczesna; najdoskonalszym zaś, a właściwie jedynym dotychczas środkiem jej stwierdzenia jest demokracja, która bez możliwości, przynajmniej teoretycznej, wspólnego kryterjum między głosującymi pomyśleć się nie da. — Ale to, również, jak dotychczas przynajmniej, dzieje się jedynie w granicach jednej narodowości; jednego dla jej członków zrozumiałego języka. Gdzie tego łącznika brak, brak też zupełnie idei posłuszeństwa mniejszości dla większości. Władza, przewaga, jest wtedy tylko faktyczną, brutalną, nie ma w sobie nic prawnego, choćby w zasadzie uznanego. Zapewne faktyczna międzynarodowość życia i cywilizacji nowoczesnej staje już do współzawodnictwa z narodowością. Klasy, a najbardziej klasa robotnicza, podają sobie ręce ponad granicami i przeciwstawiać się zaczynają, jako całość, innym klasom. Ale po pierwsze, są to jeszcze słabe początki, a powtóre, właśnie w łonie międzynarodowo połączonej klasy robotniczej, która poprostu reprezentuje w tym wypadku ideę ustroju przyszłego ludzkości, narodowości uznane są za naturalne całości i jedności i występują, jako takie, na kongresach międzynarodowych, gdzie poraz pierwszy objawia się idea większości międzynarodowej — ale opartej właśnie nie na rozbięciu, rozproszkowaniu narodowości, tylko na uznaniu ich za osoby zbiorowe, całkiem sobie równe, między którymi dopiero, i jedynie pod tą rękojmnią, może zachodzić wspólność kryterjum. Ma tedy głębokie podstawy vox populi, ogłaszający narodowość za naturalną widownię i granicę ludowładztwa. Demokracja oznacza: rząd ogółu przez ogół, czyli wyklucza zarówno rząd ludzi tejże narodowości, nieuprawnionych i niekontrolowanych przez ogół, jak panowanie obcej narodowości, choćby liczniejszej. Niezbędną częścią składową pojęcia demokracji jest niepodległość narodu; pierwsza nie może być urzeczywistniona bez drugiej.

Powyższemu procesowi logicznemu najzupełniej odpowiada proces faktyczny budzenia się i umacniania narodowej świadomości mas. Towarzyszy on nieuchronnie budzeniu się świadomości demokratycznej, całkiem od niej oddzielić się nie da. Gdy proletarijat staje się świadomym swej godności i zadań człowiekiem, gdy wypowiada, w solidarności ze swą klasą, walkę potęgom władztwa i dąży do jej urzeczywistnienia, czyż może nie poczuwać się też członkiem pewnej określonej narodowości, nie zażądać udziału w pewnej określonej kulturze, nie nienawidzić tych, którzy tę narodowość, a więc faktycznie i jego, i jego klasę pod względem narodowościowym uciskają, a zatem — nie dążyć do wolności narodowej? To wszystko byłoby możliwe tylko, gdyby proletarijat żył w abstrakcyjnej przestrzeni. W rzeczywistości, budzenie się świadomości robotniczej jest najlepszym środkiem budzenia świadomości narodowej tam, gdzie była ona usnęła — najlepszym dowodem Śląsk — umacnianie jej tam, gdzie była słaba. Klasa robotnicza musi dążyć do całkowitej demokracji, a więc tem samym do niepodległości narodowej. A ponieważ nowoczesny rozwój ekonomiczny z siłą niezmierną konieczności nie tylko wytwarza wszędzie klasę robotniczą, ale także skupia ją, popycha i zaprasza do

OSIEDLA ROBOTNICZE

Próbują zakładać w Paryżu osiedla robotnicze. Są to zupełnie nowego rodzaju zakłady we Francji. Z wdzięczamy je rewolucji lutowej i ideom, jakie ona poczęła urzeczywistniać. W zakładach tych zapewnią się robotnikom możliwość oddychania zdrowym powietrzem, nocleg i opał, korzyści, których proletariusz dotychczas był pozbawiony. Ponieważ nic się nie dzieje bez udziału kapitału, znaleźli się, jak mówią, ludzie bogaci, którzy stowarzyszą się w celu budowania osiedli dla robotników. Jest to zatem owoc zrzeszania się. Z tego względu nie można dość zachęcać do budowania wspomnianych osiedli.

Lecz oto dostarczący funduszy i założyciele, służąc tylko napozór idei socjalistycznej, umawiają się między sobą, żeby się nią posługiwać w widokach interesu chwili. Jest to stara taktyka wyzyskiwaczy, żeby z idei doskonałej samej w sobie przyjmować tylko to, co im osobiście dogadza. Toteż reakcja czempredzej pośpieszyła wziąć w swą opiekę osiedla robotnicze. Spodziewa się, że ta instytucja społeczna posłuży jej za armię przeciw socjalizmowi. Słuchając reakcjonistów, można by mniemać, że to oni są wynalzcami takich osiedli. Przeciwnie socjalizm ma być nieubłagany nieprzyjacielem dobrobytu robotnika.

Mamy prawo zapytać urzędowych przedstawicieli reakcji, pp. Thiersa, Fulda, obydwu Dupinów, dlaczego w czasach, gdy byli u steru rządów i gdy głośno mienili się zwycięzcami republiki i zasady socjalistycznej, nie przyszło im do głowy przeznaczyć na budowę osiedli robotniczych tych ogromnych kapitałów, których używali na budowę łańcucha fortyfikacji, więzień i innych tego rodzaju zakładów, które miały na celu wyłączenie dobrobytu władzy królewskiej.

Zwracamy te uwagi do robotników, przyszłych mieszkańców osiedli. Niech będą przekonani, że to duch rewolucyjny i socjalistyczny, że to duch Lipca i Lutego zmusił kapitalistów do uznania konieczności zajęcia się nareszcie dobrobytem proletariusza. Pomoc, jaką kapitaliści niosą klasie robotniczej, należy uważać za ustępstwo, wydatke egoizmowi przez postęp idei humanitarnej, a nie za wynik popędu miłości chrześcijańskiej. Leży więc w interesie robotnika, żeby pielegnował i rozpowszechniał tego ducha, który tworzył te osiedla: im potężniejszy stanie się ten duch, tym więcej znajdzie środków do zapewnienia dobrobytu tym, którzy są jego przedstawicielami. Gdyby robotnicy dali się pozyskać interesownym ustępstwom materialistów, którzy ich biorą w opiekę, gdyby zadawalać się swem położeniem, nieco ulepszeniem, opuścili ogólną sprawę proletariatu, byłiby wówczas podobni do opozycjonistów, którzy zostawiają płatnymi urzędnikami lub ministrami wyrzekają się uczuć i zapatrywań, którym zawdzięczają te same posady, jakimi zdają się teraz pyścić. Tym sposobem los osiedli robotniczych zależy od samych robotników. Niechajże jako obywatele pozostaną tym, czym byli za dni Lutego. Niech nie zapominają, że tylko chwytając za broń w interesie cierpieli i nędzy powszechnej, że tylko z krzykiem: „Niech żyje Francja, niech żyją Włochy, niech żyje Polska!” — oni, którzy nie mieli gdzie skłonić głowy, zdobyli sobie prawo żyć w tych osiedlach. Dopiero wtedy, gdy wstrząsnęli mocarstwami całej Europy, zmusili mocarzy Francji do zajęcia się ich losem.

(Artykuł z „Trybuny ludów“, 25 kwietnia 1849 r.)

ADAM MICKIEWICZ

We wrześniu b. r. zostało wykończony w Warszawie przy ul. Obozowej, w dzielnicy Koło osiedle robotnicze, wybudowane przez Towarzystwo Osiedli Robotniczych, instytucję finansowaną przez Fundusz Pracy i B. G. K. Około 500 izb, a w roku przyszłym jeszcze 400, razem około 900 izb, zostanie udostępnione dla robotników Warszawy. Wzmianki i artykuły, a nawet

walki, budzi w niej poczucie godności, solidarności i oporu, buntu, pociąga ją do udziału w oświacie i kulturze, napełnia ideałem demokracji, więc równie niezbędnym następstwem niepowstrzymanego rozwoju ekonomicznego jest określanie się świadomości narodowej w proletariacie, obrona narodowości przez tę klasę i dążenie jej do niepodległego demokratycznego państwa narodowego. Urzeczywistnienie niepodległości narodów musi być takim samym następstwem nowoczesnego rozwoju ekonomicznego, jak urzeczywistnienie demokracji, z którą stanowią ona jedną nierozłączną całość. W zastosowaniu do poszczególnego, a najważniejszego wypadku — Polski, proletariatu dąży i musi dążyć do niepodległości, ponieważ w niej jedynie urzeczywistnić może całkowicie demokrację i swobodny rozwój myśli i oświaty; a ponieważ demokracja dla niego jest środkiem rozwiązania kwestji społecznej, więc dąży on rzeczywiście do Polski socjalistycznej, opartej na nowych podstawach gospodarczych. Gdyby jednak — czego przewidzieć nie można — układ warunków nie pozwolił na urzeczywistnienie ustroju socjalistycznego w Polsce jednocześnie ze zdobyciem jej niepodległości, to fakt niepodległości i zjednoczenia będzie, jakeśmy już poprzednio wykazali, nie hamulcem, lecz potężną ostrogą dalszego rozwoju ekonomicznego na podstawach jeszcze kapitalistycznych.

Kazimierz Krauz

audycje radjowe o działalności Tow. Osiedli Robotniczych zmuszają nas do rozpatrzenia ważnej dla klasy robotniczej sprawy walki o kulturalne warunki mieszkaniowe.

NĘDZA MIESZKANIOWA

Najgorsza nędza mieszkaniowa jest udziałem proletariatu i zubożałych warstw rzemieślniczych. Ogromna masa ludności miejskiej gnieździ się w starych domach średniowiecznych, w najgorszych pomieszczeniach domów wybudowanych w ubiegłym stuleciu, oraz w drewnianych ruderach przedmieść.

Tylko mieszkania najsilniejszych ekonomicznie warstw podnoszą się w Polsce na coraz wyższy poziom higieny i wygody życiowej. Nędza zaś mieszkaniowa proletariatu w okresie 18 lat samodzielnego życia gospodarczego Polski nie tylko nie poprawiła się, lecz przybiera coraz bardziej zastraszające rozmiary.

I dzieje się to przedewszystkiem w największych ośrodkach tej gospodarki. W Łodzi jest 70% mieszkań jednoizbowych, na Śląsku wyrastają całe „bloki urbanistyczne“ ziemianek. W Warszawie 60% ludności żyje w mieszkaniach przeludnionych, w Gdyni — 35% w barakach. W stolicy brakuje około 100.000, w całej Polsce około 1.000.000 izb.

KAPITAŁ PRYWATNY

Inicjatywa prywatna dostarczania ludności mieszkań, czyli budowy dochodowych domów czynszowych, o ile decyduje się na zaangażowanie kapitałów w budowę mieszkań robotniczych, oddziaływała tylko w kierunku dalszego kontynuowania nędzy mieszkaniowej.

Ogromne potrzeby i słabe możliwości płatnicze proletariatu zostają odpowiednio wyzyskane przez kapitalistyczną. Buduje on tanim kosztem dom o jednoizbowych mieszkaniach, pozbawionych nieraz najprymitywniejszych urządzeń i elementarnej wygody. Lokatorzy jednego piętra korzystać muszą z jednego kranu z wodą i wspólnego zlewu na korytarzu. Cały dom obsługiwany jest przez jeden wspólny klozet, umieszczony na podwórzu. Domy takie, o ile budowane są na cokolwiek droższych terenach, z reguły wznoszą się na 5—6 pięter i posiadają złe schody. Dochodzi do tego, małe, ciasne podwórko, zmuszające stłoczonych sąsiadów do nieustannej wzajemnej obserwacji prywatnego życia.

Zapchany od piwnic, do których zamiast powietrza, dochodzą tylko wycieki rynsztoka i śmieć, aż do poddaszy — ludźmi, dom czynszowy stanowi jednak dla właściciela sprawnie funkcjonujące przedsiębiorstwo dochodowe.

Komorne za 1 m², jak to stwierdziły przeprowadzone w tej sprawie ankiety, jest najwyższe w mieszkaniach jednoizbowych.

Włożony kapitał, kosztem energii życiowej mieszkańców szybko wraca do właściciela. Kamienica amortyzuje się nieraz już po kilku latach.

SPÓŁDZIELNIE MIESZKANIOWO-BUDOWLANE

Interwencja państwa w sprawie polepszenia sytuacji mieszkaniowej w Polsce oprzeć się miała na działalności kredytowej B. G. K., dysponującego Państwowym Funduszem Budowlanym oraz własnymi funduszami budowlanymi. W latach przedkryzysowych i w pierwszych latach kryzysu Bank obdarzał szczególnie przywilejami kredytowymi akcją spółdzielni mieszkaniowo-budowlanych i budownictwo społeczne. Ogólne kredyty roczne przypadają średnio w wysokości 50% dla spółdzielni mieszkaniowo-budowlanych i w wysokości 40% dla instytucji społecznych. Mylnie byłoby jednakże sądzić, że akcja spółdzielczo-budowlana przyczyniła się do polepszenia warunków mieszkaniowych proletariatu i biednych warstw rzemieślniczych.

Przywileje kredytowe dla spółdzielni wywołały wprawdzie dużą ich aktywność budowlaną, były to jednakże w przeważającej ilości spółdzielnie własnościowe, budujące mieszkania na przywłaszczenie. Podjąć się wypłacania kilkusetzłotowych rat miesięcznych w ciągu 25—30 lat, aby po upływie tego czasu stać się właścicielem części domu blokowego lub willi, mogły jedynie warstwy posiadające oraz najlepiej sytuowana inteligencja wolnych zawodów — inżynierowie, lekarze, adwokaci czy też wyżsi urzędnicy i wojskowi.

SPÓŁDZIELNIE ROBOTNICZE

Mała tylko, nieznacząca wobec ogromu potrzeb część kredytów budowlanych B. G. K. przypadła robotniczej spółdzielczości mieszkaniowej.

Rozwinęły one nikłą naogół działalność. Gdyńska wybudowała około 200 „Lokator“ w Łodzi — kilkanaście małych mieszkań. Krakowska utknęła na założeniu fundamentów. Jedyłą spółdzielnią, która pod hasłem mieszkań dla robotników rozwinęła nieco żywszą działalność, była Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa. Wyniki pracy tej spółdzielni całkowicie obrazują, w jak skromnym zakresie funkcjonowała spółdzielczość robotnicza w latach popierania „spółdzielczego“ budownictwa przez państwo.

Wartość budowlu W. S. M. na Żoliborzu wynosi około 20.000.000 zł., z czego około 80% przypada na

kredyty Banku. Porównanie tej kwoty z ogólną sumą kredytów budowlanych, przyznanych przez Bank w okresie lat 1924—1932 (W. S. M. powstała w r. 1922), wynoszącą 536.500.000 zł. wykazuje, że sprawa budowy mieszkań dla robotników stawiana była na ostatnim miejscu. Nazwanie tej akcji „robotniczą spółdzielczością“ bynajmniej nie jest jeszcze równoznaczne z tem, jakoby te 1.100 mieszkań, wybudowanych w pięknej dzielnicy Żoliborza, w blokach, stanowiących dzielnicę przy głównych arterjach Mickiewicza i Krasińskiego, w otoczeniu drzew, w pobliżu uregulowanego wybrzeża Wisły, mieszkańia zaopatrzone w wodę, kanalizację, elektryczność, gaz i łazienki — oddane zostały do użytkowania robotnikom. Zbyt kulturalne to były mieszkania!

Charakter bowiem kredytów, niczem nie różniących się od dostarczanych „spółdzielniom“ własnościowym, wysokość oprocentowania i krótki okres amortyzacyjny w sposób bezwzględny określiły wysokość komornego, jako jedynego źródła, z którego Spółdzielnia spłacała raty amortyzacyjne i odsetki oraz administrowała Osiedlem. Warunkiem wprowadzenia się do mieszkania jest wpłacenie 250 zł. wkładu spółdzielczego oraz sumy piętnastokrotnego komornego. Samo zaś komorne waha się w granicach: mieszkania jednoizbowe 20—33 zł., półoraz izbowe (kuchnia we wnęce) 30—50 zł., dwuizbowe 57—80 zł., mieszkania większe od 76 do 203 zł.

W tych warunkach robotnicy zająć mogli tylko najskromniejsze lokale; w czasie kryzysu nastąpiło zjawisko wyprowadzania się, obecnie zaś w Osiedlu W. S. M. na Żoliborzu mieszka tylko 30% robotników. Rekrutują się oni spośród najlepiej sytuowanych zawodów, jak tramwajarze, kolejarze, tytoniowcy.

BUDOWNICTWO SPOŁECZNE

Z akcji budowlanej Zakładów Ubezpieczeń Społecznych, które w latach 1930—1933 wybudowały w różnych miastach Polski około 3.000 mieszkań, traktując je jako lokatę własnych kapitałów na oprocentowanie, robotnicy skorzystali również w stopniu najmniejszym. Komorne, jeszcze wyższe niż w domach spółdzielczych, przy wymaganym dużym wkładzie kaucyjnym, sprawiło, iż z mieszkań budowlanych w specjalnych domach dla robotników tylko 33% rzeczywiście wynajęli robotnicy. Stanowi to 12% ogólnej ilości mieszkań, wybudowanych przez Z. U. S.

Spośród mieszkań, wybudowanych przez gminy miejskie, najgorsze mieszkania o charakterze baraków dostępne są dla biedoty miejskiej. Takie są mieszkania w barakach w Poznaniu (około 1.400), takie są w Warszawie w domach „dla osób maźzarabiających“ w dzielnicy Koło (1.000 izb), w domach drewnianych bez kanalizacji z czynszem 20 zł. Podobne izby są na Anopolu: wewnątrz tynkowane 15—20 zł., wewnątrz nie tynkowane 10 zł. Wymiary tych ostatnich izb, zapełnionych przez duże rodziny nędzarzy, wynoszą 4 m na 5 m.

KRYZYS

W okresie kryzysu i obniżania stopy życiowej robotników kapitał prywatny przerzuca się coraz bardziej w dziedzinę budowy drogi mieszkań. Gminy miejskie ograniczają swą działalność budowlaną. Wobec zamierzenia życia gospodarczego kraju następuje zmiana systemu kredytowania przez B. G. K. Dotychczasowe finansowanie kosztów budowy do 80%, obniża się do 50%, przy równoczesnym zmniejszeniu oprocentowania. Wywołuje to zahamowanie budownictwa społecznego i spółdzielczego oraz wzrost budownictwa prywatnego. Osoby prywatne z 11% kredytów w r. 1931-ym otrzymują stopniowo w latach następnych 20—60—70 do 80% kredytów w roku 1935. W ten sposób Bank osiągnął zamierzony skutek w postaci pewnego ożywienia ruchu budowlanego przez wciągnięcie na rynek kapitałów prywatnych. Przystają jednakże zupełnie budować spółdzielnie robotnicze.

OGÓLNY BILANS

Akcja budowlana spółdzielni, budownictwo społeczne i miejskie, zarówno jak i działanie kapitału prywatnego w okresie wieloletniego samodzielnego rozwoju gospodarczego Polski, w czasie lepszych i gorszych konjunktur nie przyniosły żadnej poprawy niezamożnym warstwom społecznym. A przecież w tym właśnie okresie nastąpiła znaczna rozbudowa w każdym niemal mieście szeregu nowych dzielnic przez zasobne w pieniądze spółdzielnie własnościowe, śródmięcia zaś przez prywatny kapitał, budujący na wolnych jeszcze placach luksusowe czynszówki. Odbывała się potężna działalność Funduszu Kwaterunku Wojskowego, który tylko w latach 1927—33 wybudował mieszkań dla oficerów i podoficerów za sumę 70.000.000 zł. Kilkaset najskromniejszych izb — oto co oddano robotnikom.

TOWARZYSTWO OSIEDLI ROBOTNICZYCH

Budowa jednakże mieszkań dla robotników w oparciu o pomoc państwa nie mogła ustać na długo. Utworzony w tym okresie Fundusz Pracy przeznaczył pewną sumę na budownictwo mieszkaniowe. Fundusze te stały się podstawą działalności powyższej instytucji.

Suma przyznanych kredytów wynosiła w r. 1934 — 3.500.000 zł., w roku następnym 7.000.000 zł., na rok zaś 1936 przywidywano 9.000.000 zł. W przeciągu dwuletniego okresu Towarzystwo sfinansowało budowę ponad 3.000 mieszkań.

Przy zapewnieniu amortyzacji i oprocentowaniu kapitału Towarzystwo pragnie osiągnąć taką kalkulację kosztów całej budowy, aby komorne za jedno mieszkanie nie przewyższało 20—24 zł. Czynniki ten redukują: zarówno powierzchnię mieszkań, jak i ich wyposażenie. Są to mieszkania o wiele skromniejsze od spółdzielczych, Z. U. S. i dla podoficerów F. K. W. Stoją jednakże na wyższym poziomie, niż izby miejskie „dla osób mało zarabiających” i izby w koszarowych domach czynszowych dzielnicy robotniczej.

Przeciętne mieszkanie w bloku jest to izba z piecem kuchennym, sionką, klozetem i piwnicą. Posiada duże okno, wodę i elektryczność. Mieszkanie jest ciasne, gdyż powierzchnia jego wynosi około 30 m², i nie jest możliwy funkcjonalny podział wnętrza dla użytku licznej rodziny robotniczej. Mieszkańcy posiadają wspólne dla całego bloku łazienki, pralnie, suszalnice bielizny. Otaczający teren zostaje urządzony jako miejsce zabaw dla dzieci i dla odpoczynku. Drugi typ zabudowy, t. zw. „bliźniaki” i „szeregowce” (po 2 i więcej mieszkań), stosowany jest tam, gdzie jest duży teren, z którego można wydzielić ogródek warzywny dla każdego mieszkańca. Jest to wiejski, parterowy typ zabudowy.

Ogólnie są to warunki znacznie lepsze od tych, w których mieszka przeciętnie robotnik w Polsce.

WNIOSKI I POSTULATY

Nie będziemy tu zasadniczo rozpatrywać sprawy, dlaczego kapitał państwowy zmuszony jest angażować się w budowę mieszkań dla robotników. Analiza, zawarta w artykule Adama Mickiewicza, dostatecznie jest przenikliwa i całkowicie aktualna. Potwierdza ją fakt, że rozmiary kredytów na budowę mieszkań robotniczych zawsze nosiły charakter ochłapu, że były dawane nie bez zamiaru skorumpowania pewnych czynników w ruchu robotniczym i umożliwienia im siania złudzeń co do istotnych możliwości realizacyjnych spółdzielczości, że w gruncie rzeczy, co widać chociażby z niemożliwości przerwania budowy na czas dłuższy, akcja ta jest wywalczoną przez klasę robotniczą ustępstwem.

Chodzi o to, aby robotnicy z akcji tej wyciągnęli najwięcej dla siebie korzyści. Od tej strony należy ustosunkować się do działalności Towarzystwa Osiedli Robotniczych.

Mieszkanie w domku własnym dla robotnika z państwowych kamieniołomów czy dla robotników leśnych, mieszkających w ziemiankach lub w naprędcie skleconych szałasach, jak i mieszkanie w bloku w mieście, chociaż małe, to jednak nie piwniczne i nie zwrócone na odraapane, zaśniedziałe słońce ściany czy cuchnący śmietnik, lecz na zieleniec i ogródek; położone nie pięć i dziesięć, a półtora, dwa kilometry od miejsca pracy stanowi dla robotnika ogromną wartość. Wykazała to w wielkiej mierze praktyka Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. I to zarówno, o ile chodzi o takie sprawy, jak zdrowie mieszkańców i podnoszenie się potrzeb ogólnej kultury życia materialnego wraz ze zmianą warunków mieszkaniowych, jak też wzrost potrzeb duchowych i ogólnego uświadomienia robotników. Społeczne użytkowanie wspólnych urządzeń, współpraca na placówkach kulturalnych, wspólne świeckie wychowanie dzieci w przedszkolu i szkole łączy wspólnie mieszkańców ludzi do zwalczania wspólnymi siłami przeciwności. Wprowadza w życie pewne elementy kolektywizmu i przeciwstawia je anarchii współczesnego miasta „kamieniczników i lokatorów”, wyzwalając wiele ukrytych możliwości. Skupia część proletariatu w warunkach, w których — w rezultacie współzycia — zwyciężyć musi hasło walki i jedności działania.

Sprawa mieszkaniowa jest jednym z odcinków walki proletariatu. Odgrywa ważną rolę wśród jego częściowych zdobyczy ekonomicznych. Dlatego też robotnicy, walcząc o prawa lokatorskie w domach czynszowych, przeciwko lichwie mieszkaniowej i przeciwko niesłychanemu rozwydrzeniu komornianemu w nowych domach, powinni również od Towarzystwa Osiedli Robotniczych żądać takiej działalności, która byłaby zgodna z istotnymi potrzebami robotników.

Działalność Towarzystwa winna się oprzeć na szerszej podstawie finansowej i planowaniu akcji na szereg lat, w celu realizacji programu, obejmującego w rzeczywistości stosunku potrzeby ludności pracującej. Tylko konsekwentna realizacja takiego planu może spowodować odprężenie na tym odcinku katastrofy społecznej. Plan ten powinien się oprzeć na inicjatywie Związków Zawodowych, najlepiej w tych sprawach poinformowanych i zainteresowanych, a nie na władzach administracyjnych jak się dzieje dotychczas.

Równocześnie powinna być zaniechana tendencja oddawania budowli poszczególnym zakładom przemysłowym i porzucona akcja budowy małych domów na przywłaszczenie, wymagające od „robotnika” 1.200 zł. wkładu jednorazowego i wieloletniego spłacania kilku tysięcy zł. Komorne, które razem z opłatami za wodę dochodzą do 30 zł. powinno ulec dalszej obniżce, która umożliwiłaby najgorzej sytuowanym robotnikom i bezrobotnym korzystanie z tych mieszkań. Oprocentowanie kredytów Banku, decydujące o wysokości komornego, powinno ulec obniżce.

Administracja wreszcie osiedli już wybudowanych powinna przejść na zrzeszenie mieszkańców, a nie pozostawać w rękach mianowanych zarządów miejskich, a nawet poszczególnych przedsiębiorstw przemysłowych, „opiekujących się” swymi robotnikami.

Jerzy Doliński

LÉO MOULIN

BELGJA UKRZYŻOWANA

I

W przeciągu kilku tygodni, a nawet można powiedzieć kilku dni, sytuacja Belgji gwałtownie się pogorszyła. Rexizm, którego nie braliśmy dotychczas na serio, podniósł głowę, wyprostował się i jego olbrzymi cień pokrył nasz kraj.

Degrelle prowadził dalej gwałtowną kampanję, którą rozpoczął na długo przed majowymi wyborami. Dzień po dniu zalewał Belgję swoimi monstrualnymi mitingami, organizowanymi na modłę niemiecką, swoimi namiętnymi oskarżeniami, swoją jaskrawą prasą. Podczas gdy jego przeciwnicy pograżyli się w radościach słodkiego far niente przywódca Rexa był niezłomny. Jeździł nieustannie po całym kraju, mącąc i podburzając krzykliwymi oskarżeniami.

Kilka dni temu opinia publiczna została zaskoczona i wstrząśnięta: wbrew wszelkiemu oczekiwaniu i wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu rexizm zbliżył się do skrajnego ruchu flamandzkiego. Dzisiaj przymierze jest zawarte. Rexizm związał się z najcięższymi wrogami klasy robotniczej, jedności belgijskiej i Francji.

Jego program? To, co się o nim wie, zdaje się wskazywać:

I. że zasada monarchizmu będzie szanowana (ale to jest wątpliwe),

II. że zasada federacji najkompletniejszej będzie przeprowadzona w Belgji w razie zwycięstwa Rexa i jedynie Bruksela zostanie z konieczności dwujęzyczna.

Reszta programu jest w duchu specyficznie hitlerowskim: antymarksistowska, korporacyjna i antykapitalistyczna.

NIKOLAJ NIEKRASOW (1821 - 1876)

ELEGJA

Choćby sto razy modne głowy powtarzały,
Ze ból i klęski ludu to temat przestarzały,
Ze nie poezji rzeczą są te smutne dzieje,
Wy im nie wiercie, młodzi! To się nie starzeje.
Gdybyż się temat ten zestarzeć chciał najprędzej,
Świat boży zakwitłby! Niestety. Póki w nędzy
Pokorne chłosty biczów wloką się narody,
Jak po spalonych łąkach wychudzone trzody,
Niech Muza służy im i o ich zwycięście walczy,
To sojusz najpiękniejszy w świecie i najtrwalszy.
Gdy tryumfalną pieśń śpiewają syte szuje,
Wskazywać im na lud, co cierpi i głoduje,
Po stronie ucisnionych stać w nierównym sporze —
Jakąż godniejszą służbę lutnia pełnić może?

Złożyłem narodowi lutnię swą w zapale,
A kto wie, czy nie umrę nieznanym wcale.
Lecz mu służyłem! Umrzeć będę mógł w spokoju.
Choć nie każdy wrogowi ranę zada w boju,
Każdy niech ruszy w bój, nie myśląc o wyniku...
Widziałem cud: w ojczyźnie niema niewolników!...
I radosnymi lzy uczciłem dzień przedziwny.
„Daj pokój, dosyć już radości tej naiwnej”!
Szepnęła Muza: „Teraz — walcz o cud prawdziwy.
Naród jest wolny. Tak. Ale czy jest szczęśliwy?”

Czy z pola dojdzie mnie żniwiarzy śpiew roboczy,
Czy pochylony chłop za plugiem wolno kroczy,
Czy to przez łąkę świeżą, wesoły i beztroski,
Śniadanie ojcu niosąc, biegnie chłopak z wioski,
Czy kosy zgodnie dzwonią lub błyskają sierpy,
O jednym ciągle myślę: „Czy już chłop mniej cierpi?”
Wciąż dręczące pytania zadają tym polom:
„Czy znośniejsza się stałaś, nędzna chłopska dolo?
Czy wolność, co niewolę długą zastąpiła,
Zmieniła losy ludu? Czy choć śpiew zmieniła?
Czy jakaś nowa nuta brzmi w dziewczęcej pieśni,
Czy nadal tak bezładnie dźwięczy i boleśnie?...”

Zmrok zapada. Wieczorna w dali gaśnie zorza.
Po łąkach i po niwach, pośród stogów zboża,
Błąkam się zadumany, myśl za myślą płynie,
I pieśń sama się składa w tej cichej godzinie.
Pieśń, tajnych moich marzeń najwyższe wcielenie:
Trudom wsi błogosławię całym swym istnieniem,
Na wrogów ludu ściągam przekleństwo z niebiosów,
A na przyjaciół — siłę i laskawość losów!
I głośna jest pieśń moja! Doliny jej wtórzą
I echo gór dalekich grzmi jej w odzew burza
I lasy się ozwały... Natura mnie słyszy...
Ale ten, o kim śpiewam stród wieczornej ciszy,
Komu poeta pieśń swą i marzenia składa,
Ten, niestety! nie słyszy — i nie odpowiada..

(1874)

przełożył JULIAN TUWIM

„Elegję” uważał Niekrasow za jeden z najukochańszych i najbliższych jego sercu („zadusznych”) utworów (por. list poety do Jerakowa z dnia 29 sierpnia r. 1875). Wiersz drukowany był po raz pierwszy w „Otoczestwennych Zapiskach” w r. 1875. Carska cenzura skreśliła w nim tylko dwa wiersze: „Pokorne chłosty biczów wloką się narody, jak po spalonych łąkach wychudzone trzody”.

II

W izbie deputowanych rexiści i flaminganci*) będą mieli 37 posłów na 202.

Ale trzeba liczyć na poparcie, mniej lub więcej obłudne, dość dużej liczby deputowanych katolickich, a nawet liberalnych. Zresztą losy walki nie rozegrają się w parlamencie, ale w samym kraju.

Nowosprzymierzeni utworzą blok — żarliwy, dynamiczny, bez skrupułów, zapatrzonej w potężne środki propagandy, zdecydowany na wszystko.

Czy przymierze flamingantów i rexiistów jest szczerze? Odpowiedź na to pytanie nie jest istotna. Ich wspólne nienawiści wiążą ich tak mocno, że zapomną w chwili obecnej o najgłębszych przeciwnościach. Gdyby doszli kiedykolwiek do władzy, wtedy może to, co ich różni, pojawi się znowu, ale wtedy będzie już zapóźno dla nas! Silniejszy z dwóch łotrów pokona drugiego. Nie zapominajmy zresztą, że uczuciom religijnym udało się już kilka razy w Belgji połączyć elementy jeszcze bardziej różne niż te, które tworzą podstawę zastępów faszystowskich i frontystów (nacionalistów flamandzkich).

Weźmy także pod uwagę (a to nie jest najmniej ważne w tej sprawie), że dzięki temu przymierzemu rexiści mają nareszcie bojówki: flaminganci byli już dawno zorganizowani na modłę hitlerowską.

III

Jedną z najbardziej ciekawych rzeczy w tem przymierzem „przeciw naturze” jest reakcja nacionalistów belgijskich przeciw rexizmowi i jego wodzowi.

Jest to jedyny pomysły dla nas element w tej sprawie. Nacionaliści belgijscy, między innymi byli kombatanci, doniedawna nie przestawali okazywać mniej lub więcej dyskretnej sympatii ruchowi faszystowskiemu, stworzonemu przez Degrella. Oczywiście na ten kierunek wpływało ich powinowactwo naturalne.

Przed kilkoma tygodniami belgijski Legjon Narodowy, który dotychczas niewiadomo z jakich powodów zwalczał rexizm, postanowił podpisać z nim rozejm.

Niebezpieczeństwo zarysowywało się coraz wyraźniej.

Dzisiaj ten sam Legjon opiera się przymierzem rexiistów z frontystami. Ochotnicy wojenni, Unie braterskie kombatantów wielkiej wojny (U. F. A. C.), liberalniacionaliści powstają gwałtownie przeciw polityce Rexa, która zbyt już jawnie pracuje na rzecz Niemiec. Oskarżenia rzucane przeciw Degrellowi, według których otrzymuje on duże subsydia od Trzeciej Rzeszy, są coraz bardziej sprecyzowane. A mimo tych niezliczonych oskarżeń Duce rexizmu odmawia dotychczas ujawnienia źródła swego funduszu propagandowego (więcej niż dwa miliony franków są zużywane na rozdawanie bezpłatnych pism).

Toteż ugoda z siódmego października wywołała wybuch ogólnego oburzenia.

Ale nie trzeba zanadto liczyć na tę dezaprobatę klas posiadających i mieszczaństwa belgijskiego.

Ich nienawiści do marxizmu pozwoli im zapomnieć i gorsze rzeczy. Mimo wszystko sympatyzują one z Hitlerem. Trzeba tylko być dość zręcznym, by ich poprowadzić. Same zaś zastępy rexiistowskie straciły już do tego stopnia kontrolę nad sobą, że nie powstaną przeciw polityce faktów dokonanych.

Zmysł krytyczny nie jest bynajmniej ich najsilniejszą stroną. Wódz powoła się na „wymagania taktyczne” i wszystko będzie załatwione. Rewolucja nie przyjdzie stamtąd.

IV

W obliczu tych niebywałych przegrupowań, jakie są siły, zdolne powstać i walczyć zwycięsko?

Partja katolicka? Znajduje się ona obecnie w toku reorganizacji i jest na długo jeszcze bezsilna. Przytem, nie zapominajmy o tem, że rexizm cieszy się dużą sympatią i nigdy partja katolicka nie zdecyduje się na zupełne zerwanie mostów. Z drugiej zaś strony i ona także przyjęła rozwiązanie federalistyczne — oto podstawa zbliżenia zawsze możliwa.

Partja liberalna? Nie mówmy o niej. Jest ona atakowana z dwóch stron. Jeden z jej najświetniejszych reprezentantów minister Marcel Henri Jaspars był zaatakowany przez Degrella w taki sposób, że jest mało prawdopodobne, by mógł wyjść bez szwanku z tej awantury.

Socjalna demokracja? Nigdy nie była ona tak bezbronna, tak nieprzygotowana do swojej misji.

Przerażona i zrozpaczona wypadkami hiszpańskimi, jest ona jakgdyby zahipnotyzowana i zafascynowana rozpędem i witalnością ruchu rexiistowskiego. Jej reakcje są temi samymi gestami nieskoordynowanymi i bojaźliwymi, które czyniła niewyraźnie socjaldemokracja niemiecka w r. 1933. Żadnej realnej woli walki, a nade wszystko żadnej chęci odnowienia się.

Bo do czego może być zdolna? Wodzowie postawiali w partyjnej rutynie, zupełny brak doktryny i brak wiary w swoją misję dziejową, ciężar różnorodnych machinacyj polityczno-finansowych, małe skandale i mały lu-

*) Nacionaliści flamandzcy.

GEORGES DUHAMEL

OSTATNIA PODRÓŻ CANDIDA

Candide uprawiał od wielu lat swój ogród i nie był tem wcale znudzony. Ale starość zbliżała się. Obawiając się, że niedołęstwo może go niedługo zatrzymać przy ognisku domowym, Candide zapragnął zobaczyć ostatni raz ten wspaniały świat, o którym jego mały ogródek mógł mu dać tylko skromne wyobrażenie. Zdecydował się więc na wyjazd, zapakował rzeczy i wsiadł na okręt.

Kiedy statek opuszczał port, Candide spostrzegł na morzu samotną skałę, na której wznosiła się ponura forteca.

— To bardzo melancholijne miejsce — powiedział do innych podróżnych. — Kraj żyje w pokoju ze swymi sąsiadami. Przypuszczam, że ta budowla jest pusta.

Towarzysze Candida odsunęli się od niego, mrużąc niechętnie. Jeden z nich wrócił jednak wkrótce, odciągnął go na stronę i szepnął mu kilka słów do ucha.

— Pan musi być cudzoziemcem. W przeciwnym razie wiedziałby pan, że rząd naszego kraju zamyka w tej fortecy tych, którzy myślą inaczej niż on i z tego powodu są niebezpieczni dla państwa. Jest ich tam od 700 do 800. Codziennie zabija się kilku i zastępuje się ich nowymi. Więzienie nie jest nigdy próżne. Daję panu te informacje przez współczucie dla pana. Ale to jest temat, co do którego trzeba zachować jak najgłębsze milczenie.

Candide skinął głową i zrobił wszystko co mógł, aby zapomnieć o więzieniu i więźniach. Nazajutrz statek przejechał majestatycznie obok wyspy należącej do Wielkiej Panonji.

— Oto — zawołał Candide — zachwycający widok! Dostzegam pięknie uprawne pola i uśmiechnięte domki.

— To — powiedział kapitan — wyspa Bombali,

dzie. Czegoż oczekiwać od tej masy bez oblicza i bez zapału? Ataków na osobę Degrella? Ploteczek o życiu deputowanych rexiŝtów? Zademonstrowania bezładności i sprzeczności doktryny rexiŝmu? Tak. Lecz nie siły, nie pewności w ataku, a przedewszystkiem nie wiary. Bez odnowienia się wewnętrznego Belgijska Partja Robotnicza jest skazana na zgubę pod ciężarem własnych swoich dzieł. Nie chodzi tu o to, by przerzuciła się do opozycji względem rządu, opozycji bezpłodnej i zresztą niemożliwej. Ale trzeba wymagać od niej, jeśli już nie jest zapóźno (czego lękam się bardzo), żeby zanim poniesie ferment rewolucji nazewną, przeprowadziła rewolucję wewnętrzną, jak przeprowadził ją — trzeba to przyznać — Rex.

V

Co do Frontu Ludowego, to okazał się on tworem poronionym. I powiedziałabym, że to było szczęśliwe dla Belgji. Jego realizacja mogłaby tylko przyspieszyć skryzalizowanie się wszystkich sił „antymarksiŝowskich”, tak licznych już i silnych, i podniesionych na duchu sukcesami rebelji hiszpańskiej. Zasadnicza opozycja chrześcijańskich demokratów przeciw utworzeniu bloku z komunistami-stalinowcami (zresztą bardzo nielicznymi) przeskoczyła jakimkolwiek zbliżeniu, mającemu realne znaczenie. Pozostaje tylko próba utworzenia bloku socjalistów i chrześcijańskich demokratów: są to dwie jedyne żywotne siły Belgji. Bez jednej z nich lub przeciw jej opinii jest niemożliwe zbudowanie czegoś trwałego. Wiem, że obecnie ludzie dobrej woli z obydwu ugrupowań starają się znaleźć wspólną platformę socjalną i polityczną, która posłuży jako baza do utworzenia przyszłego rządu. Ministrowie socjalistyczni i demokratyczni wezmą na siebie ciężar zrealizowania tego programu.

Ale trzeba przyznać, że wszystko to jest jeszcze bardzo niesprecyzowane, a nadewszystko bardzo dalekie. Mówi się dużo w ostatnich czasach o „demokracji autorytatywnej”. To ładne określenie jest lansowane przez P. H. Spaaka, obecnego ministra spraw zagranicznych. Ale jakie jest jego istotne znaczenie? Trudno to dokładnie określić. A przytem czy siły, których współdziałania wymaga podobna forma demokracji, będą miały czas się ugrupować? Oto, na czym polega zagadnienie. Czy nie będziemy zaskoczeni w ciągu niewielu miesięcy przez przeciwnika szybkiego, gwałtownego, zdecydowanego i pozbawionego skrupułów? Czy będziemy zdolni, wyzyskać należycie błędy taktyczne, które popełnił Degrelle, zawierając przymierze z wrogami jednościi Belgji?

VI

Sytuacja w Belgji jest poważna, bardzo poważna. Mimo niezaprzeczonej poprawy ekonomicznej, mimo znacznego zmniejszenia bezrobocia, mimo dającego się od roku zauważyć dobrobytu klas średnich, niezadowolenie rośnie nawet u tych, którzy mieliby najwięcej powodów do zadowolenia z rządu Van Zeelanda. Duch jest chory, podczas gdy ciało przechodzi już okres rekonwalescencji. Pozostaje jedynie zagadnienie, czy ciało będzie jeszcze dość silne, by odczuć skutki wyzdrowienia. Oto na co liczy Henryk De Man. Ale mojem zdaniem liczy on za wiele na przyrodzony rozsądek Belgów. Dzisiaj u nas jak i gdzieindziej ludzie chcą wodza: nie myśleć, nie czuć ciężaru odpowiedzialności, słuchać, słuchać za wszelką cenę.

Léo Moulin

najważniejsza z Tetranezów. Cały archipelag jest obecnie zajęty przez katorżników. Tutaj regent Panonji więzi członków dawnej opozycji. Jest ich siedm tysięcy na wyspach Tetranezu. Inni, w liczbie stu tysięcy, są umieszczeni na kontynencie. Tam można ich lepiej pilnować. Jeszcze trzy dni, proszę pana, a będziemy na wodach Morianu.

Candide spędził te trzy dni na rozmyślaniu o głębi firmamentu i majestacie wszechświata.

Trzeciego dnia zobaczył brzegi Morianu.

Była to ziemia dość niska, spalona słońcem, porośnięta trędownatymi palmami.

— Nie zna pan tej nieszczęśliwej kolonii? — zapytał Candida podróżny, który znajdował się na pokładzie. — Naprawdę? Nic pan nie traci. Moriane należy od stu lat do Aspazji, która ją zaludniła więzieniami i masą nieszczęśliwców, zamieszanych w ostatnią wojnę cywilną. Ci, którzy chcą stąd uciec, kończą zwykle we wnętrznościach rekinów.

— Ale nie myślmy o tem! Podziwiamy lepiej światło! Jest ono zachwycające w tym kraju!

Candide zachwycał się więc światłem, aż statek zatrzymał się w porcie Monte Grade, który był stolicą Nowej Finandji.

Candide wylądował i zwiedził miasto. Wydało mu się piękne i dobrze utrzymane.

Najbardziej zachwyca mnie — powiedział do jednego z kupców portowych — ten pagórek, który panuje nad waszem pięknym miastem Korona jego jest pałac, który wydaje mi się prawdę powiedziawszy nieco zbyt posępny i czarny, ale naprawdę majestatyczny.

— To nie jest pałac! — odpowiedział przyciszonym głosem kupiec. — To nasze więzienie. Więź tam teraz sześciu ministrów z poprzedniego rządu. Rząd obecny zanim doszedł do władzy, był także pod kluczem. Jeżeli w krótkim czasie nie rozstrzela swoich przeciwników, to grozi mu, że podczas następnej rewolty opuści pałac, by znaleźć się w kaźni.

Candide powrócił na okręt, wstrząśnięty do głębi.

Widzę — myślał — tylko katorgi i katorżników. Jedną część ludności może tylko wtedy swobodnie odychać, jeśli druga jest w więzieniu. Czy niema kraju, w którym obywatele mogą myśleć, co im się podoba?

Tak marzył ze smutkiem Candide, a tymczasem okręt pływając bezkresne morze zmieniał nieba i klimat. Przyszedł dzień, w którym podróżni odkryli we mgle ziemię bardzo nędzną, pokrytą lodem, którą ożywiały tylko wielkie loty krzyczącego ptactwa.

— Zapewne — westchnął Candide — jest to jedyny kraj na ziemi, gdzie mędrzec może rozmyślać swobodnie w zupełnej samotności.

— Nie wierz pan w to! — odezwał się jeden z podróżnych. — Ta pustynia należy do republiki Oia-

TADEUSZ HOLLENDER

DO ENDECKIEGO REDAKTORA

Panie nad-redaktorze ober-polskiej szmaty, wnuku babki aryjskiej z praaryjskim dziadkiem, od kiedy to, pachciarzu, wyłudził pan patent na kontusze, rubieże i konfederatki...

Od kiedy, ramociarzu gadzinowych gryzmoł śmie mi pan faszystowską grozić Europa, jaktem prawem wygrażać śmie mi pan ojczyznę, polskiego Akropolu dzierzwiąc monopol...

Jeszcze z forsyzydowskiej brud ze szpałt nie opadł, już z żydem renegatem mnie za renegata ogłasza i ordęzi słowem — Europa! — Europa dla panów to tylko część świata!

Kto? — Paczka korporantów, mieszcuchy, dewoty, idjoci, katolickie żydłowy i popy? Ci mają nas nauczać ojczyzny i cnoty, których duch nie doświecił lub chrzest nie dokropił...

Pan ma wskazywać droge, natchniony i święty, pan głęsić ducha Płowców, Kircholmów, Raclawic, pan, faworyt subwencyj, wychowanek renty, który po sobie kłęski nawet nie zostawi.

Nie panu straszyć wielkich zółtą latą, ghettem, nie dla pana sirowość barbarzyńskiej Sparty, za forę można kupić wiersze, nie poetę, choć ma dziury w kieszeni i buty podarte.

Za forę można kupić armaty i naród, za forę można... zresztą, pan wie o tem lepiej, pan, któremu kieszenie trzeszczą od ciężaru, w którego palcach forsa jak lajno się lepi.

I dlatego pouczać, powiadam, nie panu miłości nienawistnej, bolesnej prawdziwie, bc wielcy, gdyby wstali, nie przy takich stana, przy których stoją dzisiaj wszyscy mali żywi.

I dlatego, grandziarzu, milczeć o ofiarach i tej ojczyźnie, której pan dotknąć nie może, i dlatego, powiadam, od niej panu wara, to pan ją zanieczyszcza, Panie Redaktorze!

nischs. Zrobiono z niej katorgę. Deportowani żyją tu przez osiem miesięcy w norach. Resztę czasu są pozerani przez komary. Najgorsze jest to, że nie daje się im możliwości popełnienia samobójstwa, tak że wyświadcza ją oni sobie akt miłosierdzia, dusząc się wzajemnie, gdy rozpacz ich stanie się nie do zniesienia. Naturalnie, nie mam potrzeby wyjaśniać, że to są tylko skazańcy polityczni. Kryminalni korzystają wszędzie z łagodnego regim'u w stołecznych więzieniach. Złodzieje i zabójcy są uważani (jest to zdobycz współczesnej myśli) za dusze zbłąkane.

Candide spuścił głowę.

— A więc nie! — pomyślał. — Nie chce już niczego więcej widzieć na świecie! Chce wrócić do mego ogrodu, wziąć moją łopatę i moją polewaczkę i pracować aż do dnia, w którym jakieś zdarzenie nie oswoi bodzi mnie od mojej egzystencji!

Oświadczywszy to mewom i sobie, zeszedł do swojej kabiny i odmówił wyjścia z niej aż do końca podróży. Znajdował się w niej jeszcze, gdy statek wiechał na wody federacji chiromyńskiej, która znajdowała się w wojnie ze stanami Papajany. Chiromyńczycy rozrzucili tysiące min, statek zawadził o jedną z nich, otworzył się szeroko i poszedł na dno.

Candide jak inni pasażerowie przeszedł nagle z cierpień ziemskiego życia do nieogarnionych rozkoszy wiecznej szczęśliwości. Spoczątku doznał wrażenia krótkiego zanurzenia się w ciemnościach, a potem — światło, światło olśniewające!

Duch Candida starał się nie bez trudności uporać rządować nieco swoje myśli, gdy nagle poczuł, że ktoś go delikatnie ciągnie za rękę. Candide otworzył swoje niematerialne oczy i ujrzał swego Anioła Stróża, którego zapomniał trochę od czasu snów dzieciństwa, ale którego poznał natychmiast.

— Chodź, mój przyjacielu! — powiedział anioł — przebiegniemy razem sfery rajskie, dziedziń dane nam na wieczność.

Candide z zachwytem podążył za mieszkańcem niebios. Naprzód spotkali wielkie zloty szczęśliwych cieni, które bawiły się gwiazdami w golfa i w basketball.

— Ale gdzie jest Bóg? — zapytał Candide.

— Widzę Go wszędzie — powiedział anioł. I ty go spostrzeżesz także, gdy przestaniesz być olśniony, gdyż jest on właśnie tą światłością, która nas otacza.

Następnie ujrzeli cienie, które grały na flecie, organach i skrzypcach i cienie, które śpiewały braterskim chórem pod dyktando serafinów-melomanów.

— Ah! — powiedział Candide. — Jakże my jesteśmy daleko od ziemi! Co za harmonja! Jakaż uspokajająca zgoda! Jakże ja będę szczęśliwy!

Candide chciał zaśpiewać hymn wdzięczności, ale z jego oczu płynęły łzy, a głos łamał się ze wzruszenia.

— A teraz — powiedział jego anioł, jakby nieco zaniepokojony — przyspieszmy nieco kroku i proszę cię mówmy jaknajmniej.

Candide chciał poprosić o wyjaśnienie, ale przeszkodziły mu jęki, które podnosiły się z przepaści, pełnej mgieł i ciemności.

— Śpieszmy się — powtórzył anioł.

— Idę za tobą! — wyjąkał Candide. — Ale bądź tak dobry i powiedz mi, kto są ci błogosławieni, którzy skarżą się tak dziwnie.

Anioł wzruszył swemi skrzydlatemi ramionami.

— Ależ — powiedział — znasz ich dobrze! Myślę, że na ziemi mówiono ci o Lucyferze i Belzebulie, o tych niebezpiecznych agitatorach, którzy żyją tu w mękach od czasu jak — dzięki niech będą niebu — nie udał się im ich zamach?

— JAKO? — zawołał z bólem Candide. — Czyż jest możliwe, by nawet niebo miało swoich skazańców politycznych, swoje katorgi i swoich katów?

— Milcz! — szepnął przerażony anioł. — Ja jestem w dobrych stosunkach z Rafaelem i z jego strony nie mamy się czego obawiać, ale gdyby ktoś nas posłyszał i powiedział Gabrjelowi, to mogłoby nam bardzo zaszkodzić i przeszkodzić mi w awansie.

Candide spuścił głowę i zaczął marzyć.

Z bólem i uporem, lecz także i z nadzieją, Candide starał się ze wszystkich sił wyobrazić sobie możliwość nicości.

SZPILKI

NIEZALEŻNE PISMO SATYRYCZNE

Cena egzemplarza 30 gr.

Prenumerata kwartalna zł. 3.—

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, SENATORSKA L. 4

Piszą: Marjan Hemar, Tadeusz Hollender, Stanisław Jerzy Lec, Andrzej Nowicki, Leon Pasternak, Lech Piwowar, Jan Szeląg, Edward Szymański, Juljan Tuwim, Zbigniew Uniłowski, Feliks Zandler i inni.

Rysują: Karol Baraniecki, Marja Berezowska, Jakób Bickels, Bohdan Bocianowski, Władysław Daszewski, Henryk Gronwald, Eljasz Kanarek, Bronisław Linke, Eryk Lipiński, Franciszek Parecki, Stanisław Prussak, Andrzej Siemaszko, Zenon Wasilewski, Jerzy Zaruba i inni.

ZOFJA LISSA

MUZYZKA I MASZYNA

Dozukiwanie się związków między bazą ekonomiczno-społeczną a kulturą duchową stało się dziś już modą. Coraz wyraźniej przejawia się przenikanie i wpływ myśli socjologicznej na różne tereny naukowe. Jak w średniowieczu teologia, jak w wieku XIX nauki przyrodnicze, tak dziś pojęcia socjologii przenikają różne dziedziny myśli, wyciskają na nich swe charakterystyczne piętno i tworzą nowe aspekty i nowe zagadnienia. Wśród rozmaitych „inteligentnych” rozmówek coraz częściej padają wyrażenia: „sztuka feodalna”, „mentalność kapitalistyczna” i t. p.; prowadzi to do nowej schematyzacji myślenia i nowego rodzaju upraszczania spraw. Że związek między formami życia zbiorowego a kulturą duchową istnieje — to fakt, którego nie negują nawet myśliciele idealistyczni. Ale że związek ten jest niekiedy bardzo głęboko ukryty i trudny do ujęcia, że działają w nim wielorodne czynniki poprzez liczne ogniwa pośrednie, że nadbudowa kulturalna nie zawsze jest odbiciem swej epoki, a często jej uzupełnieniem. — o tem przeważnie nie wiedzą rozmaici saloniści „dialektycy materialistyczni”

I w muzyce związki takie istnieją, choć są znacznie trudniejsze do uchwycenia, niż w innych dziedzinach kultury. Nie mam zamiaru na tem miejscu podejmować tych spraw (uczyniałam to częściowo już gdzieś indziej). Chciałabym tylko zwrócić uwagę na jeden fakt z tej dziedziny, którego jesteśmy obecnie świadkami, a z którego doniosłości dla przyszłych form uprawiania muzyki mało kto zdaje sobie sprawę.

Jednym z ogniw, pośredniczących między układem sił ekonomicznych a sztuką jest stan techniki danej epoki. Stan techniki nie jest wprawdzie bezpośrednim wynikiem ustroju społecznego (wiemy dziś, że w różnych ustrójach rozwój techniki może iść w tym samym kierunku), ale wraz z nim kształtuje warunki życia, a w następstwie tego urabia w masie ludzkiej formy percepcji, kategorie myślenia i wartościowania. Otóż w chwili obecnej jesteśmy świadkami tego, jak nowe środki techniki zaczynają wywierać decydujący wpływ na formy uprawiania muzyki, zmieniając silnie dotychczasowe jej oblicze. Spełniają wobec tej sztuki tę samą rolę, co ongiś maszynizacja wobec rzemiosła artystycznego. Mechaniczne sposoby reprodukcji muzycznej (płyta, radio, dzwiękowiec) pomniejszają przede wszystkim znacznie dotychczasową rolę artysty-wykonawcy, odtwórcy muzycznego. Wśród rozmaitych gatunków sztuk tylko literatura i sztuki plastyczne nie potrzebują żywego człowieka, jako pośrednika pomiędzy dziełem a jego odbiorcą. Teatr, taniec, muzyka były pod tym względem zawsze trójczłonowe: między dziełem a odbiorcą włączona była z konieczności konkretyzacja dzieła, która zależała zawsze od żywego człowieka. Człowiek ten, mimo że był tylko odtwórcą, realizatorem cudzych idei, musiał być jednak zawsze odtwórcą twórczym; ożywiał bowiem dzieło, zamknięte w martwych znakach i zależnie od swej indywidualności, nadawał mu rozmaite oblicze. Społeczne formy uprawiania muzyki (t. zw. życie koncertowe) były całkowicie zależne od odtwórców. Dziś sytuacja ulega zasadniczej zmianie, podobnej do tej, która w innych dziedzinach kultury dokonała się dwa wieki temu; zmiana ta zaczęła się dokonywać jeszcze w dobie renesansu.

W wiekach średnich rzemieślnik z zamiłowaniem i oddaniem się artysty rzeźbił krzesło lub szafę, kuł świecznik czy zbroję, tkał makatę czy też malował inicjały ksiąg. Między nim i artystą, który rzeźbił chimery gotyckich kościołów, czy malował freski na ścianach kaplic, nie było jeszcze różnicy ani w postawie twórczej ani też w stanie społecznym. Wszyscy razem uważali się za robotników; dopiero znacznie później zaczyna się tworzyć między nimi rozdział. Przepaść otwiera się całkowicie, gdy rosnąca maszynizacja wytwórczości, — produkcja fabryczna — odbiera ostatnie piętno indywidualności pracy rzemieślniczej. Następuje zupełny rozbrat między wytwórczością przedmiotów użytkowych i estetycznych, między pracą rzemieślnika i pracą artysty. Jedni to zmechanizowani robotnicy, wkładający niewiele lub nic ze siebie samych w swoją mechaniczną pracę, drudzy — to natchnieni artyści, tworzący dla „elity” społeczeństwa. Sztuka odrywa się zupełnie od życia codziennego, zapomina, że właśnie to życie i przedmioty jemu potrzebne i służące, dały początek sztuce.

Dziś na terenie muzycznym mechaniczne środki produkcji są podłożem podobnego procesu rozwojowego; ostatecznych konsekwencji tego procesu narazie nie można przewidzieć. Przejście od indywidualnych form wykonania do reprodukcji mechanicznej usuwa w pewnym stopniu człowieka, jako ogniwo pośrednie między twórcą a odbiorcą dzieła muzycznego. Na podstawie jednego wykonania odlewa się tuziny płyt gramofonowych. Jednego wykonania radiowego, w którym rola wykonawcy jeszcze nie znikła, choć jest już nieco ograniczona, słuchają oddzielnie setki słuchaczy, niezwiązanych jednością miejsca, atmosfery, widokiem wykonawcy itp., jak to się dzieje na sali koncertowej. Jeżeli odpowiednia aparatura utrwalą takie wykonanie, to słuchają go po dłuższym czasie różni odbiorcy, wtedy gdy odtwórca wogóle o tem może nie wie, gdy robi coś zupełnie innego, gdy może pragnąłby już zupełnie inaczej dany utwór odegrać. Pełnowina między wykonaniem

a wykonawcą dzieła jest przecięta. Wykonanie żyje samoistnie dzięki maszynie, dzięki niej jest utrwalone i dzięki niej dociera do tysięcy odbiorców. Przestało być tworem indywidualnym. Żywe ogniwo pośrednie zostało usunięte.

Jak długo muzyce nie groziła konkurencja maszyn, rola artysty-odtwórcy była ważna, niezbędna, niekiedy nawet centralna, jak n. p. w wieku XIX. Wirtuoz — wynik jednostronnie rozwiniętej sztuki wykonawczej — był przedmiotem podziwu i zachwytu, osią zainteresowania, a nie dzieło przezeń wykonwane. Dla niego a nie dla samej muzyki tłoczyli się słuchacze, po salach koncertowych, dla niego powstawały liczne dzieła muzyczne, których żywot był pełen chwały, ale krótki i przemijający. To szczególne znaczenie wirtuoza w XIX wieku daje się bardzo łatwo historycznie uzasadnić. W tym czasie wkracza na arenę konsumpcji muzycznej mieszczaństwo, pozbawione tradycji muzycznej, nie posiadające odpowiednich kategorii ujmowania muzyki, która przecie dotąd należała do stanu pierwszego. Poprzez wirtuozostwo znajduje mieszczaństwo łatwą i dostępną drogę do zrozumienia muzyki, zachwyt nad błyskotliwością techniki zastępuje mu przez pewien czas zrozumienie dla samej muzyki. Zamiast kultury muzycznej wnosi ono ze sobą szczerą entuzjazm, i entuzjazmuje się byle czem, przedewszystkiem tem, co się daje łatwo ująć, a więc błyskotliwością środków wykonawczych.

ANNA KOWALSKA

PISARZ PARYSKICH PRZEDMIĘĆ

Eugenjusz Dabit zmarł na szkarlatynę w sierpniu b. r. w Sebastopolu, u kresu pięknej podróży, którą odbył w towarzystwie Gide'a, Guiloux i innych przyjaciół. Zostawił kilka powieści: *Petit Louis*, *Villa Oasis*, *Un mort tout neuf*, *L'île*, *La Zone verte*, wspomnień: *Faubourgs de Paris* i zbiór nowel: *Train de vie*, wydanych ostatnio w *La Renaissance de la Nouvelle*.

Krytycy tak różni i piszący w tak różnych pismach jak *Andre Warnod* z *Figaro*, i *Paul Nizan* z *Humanité*, *Leon Deffoux* z *L'Oeuvre*, *François de Roux* z *L'Intransigeant*, *Marius Richard* z *La Liberté*, *Frederic Lefevre* z *Nouvelles Litteraires*, *Emmanuel Berl* z *Marianne*, *Georges Friedman* z *Vendredi* chwalą autentyczność jego osobowości i autentyczność jego twórczości, uczciwość w oddawaniu własnego myślenia, zaufanie do pracy. Wolny od przesady, czujny w doszukiwaniu się sensu w przygodnych spotkaniach, we własnych reakcjach.

W pismach swych był wierny ludziom i ludowi. Pragnął stać się pisarzem ludowym, rewolucyjnym, nie przemilczając jednak żadnych trudności, ani oporu, jakie sam w sobie odczuwał.

Najwyraźniej i najszcześliwiej wyraził Dabit swą łagodną powagę, spokój opanowanego wzruszenia, przez zwyciężoną goryczą w nowelach *Train de vie* (*Co-dzienne życie*). Odnajdujemy tam owo braterstwo, uniesienie serca, o którym pisał tak prosto, prawdziwie i młodzieńczo w swoich zwierzeniach.

W jednej z nowel przedstawia kamieniarza, starego człowieka, który niczego się nie spodziewa, niczego nie ma. Nie buntuje się. Żyje. Tłucze kamienie. W południe przegryzie kawałek chleba. Prawie jest pogodzony i pogodny. Ma przyjaciela, psa-znajdę, któremu zostawia lepsze kęsy jedzenia, do którego przemawia po robotcie, zwierając się mu ze zmęczenia i swoich małych spraw. Dziewczynka z willi upodobała sobie pieska. Mogła mieć rasowe, kosztowne, ale upodobała sobie właśnie wesołego pieska kamieniarza. Po jakimś czasie matka dziewczynki poprosiła kamieniarza o pieska. Zgodził się kamieniarz. A piesek-zdrójca zgodził się najłatwiej. Został się sam kamieniarz. Pogodzony, chociaż mniej pogodny.

Niepogodzony z losem kamieniarza jest zato czytelnik. Przeciwnie, obraz starego człowieka godnego w swej biedzie, nadaremnie dzielnego, okrutnie samotnego, gniewa i boli.

— Dwadzieścia lat minęło, nim zobaczyłem jasno — jak wygląda ład świata — mówi o sobie Dabit, kilka lat minęło nim wypracował sztukę słowa, która w kilku chwilach umie czytelnika porwać, przejąć, a często przeistoczyć.

FRAGMENTY Z PAMIĘTNIKA

15 grudnia 1933 roku

Kiedy rodzice odedją — a prędzej czy później taki dzień nastanie — będzie to, wiem dobrze, moim największym może bólem. Zawsze żyłem z nimi — mimo długich nieobecności — moje myśli zostawały ciągle jeszcze ich myślami, mimo głębokich różnic. Każdej chwili życia istnieją we mnie. Mogę zobaczyć ich jutro żywych jeszcze. Jednego dnia to się skończy. Ubył już jeden z naszego małego światka, prawie mi obcy zresztą: stryj August. Przyjdzie kolej na ojca, albo na matkę. Oby stało się to jak najpóźniej. Ale w czasie odmierzonym naszym życiem najbardziej odległy termin jest jednak bliski. Śmierć jest we mnie jak rana, która

Wiek XX ogranicza coraz bardziej znaczenie wirtuoza, a doba dzisiejsza zaczyna właściwie podkopywać podstawy jego egzystencji. Maszyna wkracza na teren muzyki i pierwszą jej ofiarą staje się właśnie wirtuoz-odtwórca. Wprawdzie narazie jeszcze nie został on w zupełności wyeliminowany, ale wszystko przemawia za tem, że w ciągu najbliższych dziesięcioleci zmieni się całkowicie społeczna forma uprawiania muzyki, a rola wykonawcy skurczy się do minimum. Już dziś formy życia koncertowego cierpią mocno spowodu konkurencji radia i pafonofonu. Można przypuścić, że nastanie czas, kiedy biuletynki-wypożyczalnie płyt gramofonowych (które już dziś istnieją) wraz z radjem zastąpią ludziom, żądnym muzyki, chodzenie na koncerty. A ogromna ilość wędrownych artystów-odtwórców stanie się zbędnym anachronizmem.

Czy należy nad tym procesem ubolewać? Sądzę, że byłoby to tak samo bezowocne, jak przeciwstawianie się historycznie i ekonomicznie zdeterminowanemu procesom rozwojowym na innych terenach. Tak jak produkcja fabryczna z jednej strony zabiła rzemiosło artystyczne, ale z drugiej udostępniła swe wytwory, jeśli nie wszystkim, to jednak bardzo wielu ludziom; tak i mechanizacja reprodukcji muzycznej z jednej strony odbiera samej reprodukcji jej piętno indywidualne, z drugiej jednak strony rozszerza zakres konsumenta muzycznego tak silnie, jak tego dotychczasowe życie koncertowe nigdy uczynić nie mogło.

Stoimy obecnie w muzyce na punkcie węzłowym i z tego musimy sobie zdać sprawę. Ważne jest tylko, abyśmy — rozumiejąc to — nie ratowali sypiącej się w gruzy przeszłości, ale wyzyskali twórczo to, co nam niesie dzień dzisiejszy.

się nie zamknie. Myślę o śmierci, rozmyślając o moich przyjaciółach i o sobie samym. A nawet kiedy myślę o zamęcie w jakim znajduje się świat, to jeszcze ciągle myślę o śmierci. I teraz, kiedy kreślę te słowa, czyha na mnie śmierć. Papier na którym piszę, zginie. Czyż jest możliwe, aby ocalała moja myśl? Nie. Wszystko jest śmiertelne. Wielkie dzieła zarówno jak małe, cóż to wszystko znaczy w czasie? Istnieje tylko życie, które się stwarza. I tylko ono istnieje naprawdę. Życie, którego przyszłe formy tak trudno jest wyobrazić sobie. Biedne litery, biedne te myśli, które są moimi — chociaż należą równocześnie do tysięcy ludzi — a kiedyś, będą nicością. Biedni rodzice. Wszystko jest nawet mniej niż prochem. Dwa tysiące, czy dziesięć tysięcy lat „cywilizacji” — cóż to znaczy; i również ta nawet, która przyjdzie. I sto tysięcy lat i więcej. I ja dzisiajszego wieczoru. Obym jaknajszybciej zasnął przymknąwszy oczy, by znaleźć się nazewnątrz wszystkiego jak po śmierci. Niech nie wstrząsają tem ciałem już drżenia radości i niepokoju. Ale zapadając w sen, wiem, że to nie śmierć, i zasypiam szczęśliwy. Myśl moja szarpie się, jęczy i błądzi. Trzeba dać się porwać małym zajęciom człowieczym — znając ich małość i próżność — aby mieć nogi oparte na ziemi, jakoże się na niej znajdują i mieć szeroko otwarte oczy na wszystkie cuda życia, które może poprzez wieki pozostaną cudami...

8 marca 1934

Gdybym mógł poświęcić część samego siebie dla pracy literackiej. Nie najlepszej, najbogatszej, najbardziej intensywnej. Każda bowiem technika, każda realizacja nakłada serwituty. Nie tracę nadziei, że kiedyś lepiej wyrażę samego siebie i ludzie usłyszają mój prawdziwy głos. Muszę tylko żyć. Czyż nie tu właśnie, na kartach dziennika, powinienem umieć wydobyć z siebie silny i swobodny głos? Właśnie tu, gdzie nic mię nie ogranicza, nie przytłacza. A jedyną przeszkodą jest trudność w jasnym wypowiedzeniu myśli, która niezawsze jest wyraźna i bystrą. Tu, w dzienniku winienem czytać moje wyznania, opowiadać miłości i bunt i jak to czasem czuję się porwany, przesiąknięty przez życie. Porwany daleko. Uwiedziony. Uprawdowany. Potem tracę siły. Ach, mój przedtem uratować choć szczytki tego wspaniałego życia. Nie chciałbym umrzeć, wiem bowiem, że nie wyraziłem jeszcze moich najlepszych możliwości! Że umiem kochać całą moją istotą! Że umiem oderwać się od codzienności. Warto, bym żył, czując cały świat w moim sercu i prawdziwą krew płynącą w żyłach. To są prawdy i rzeczywistości. Jeśli będę żył, to opiszę to jeszcze w moich książkach. Wiem, że potrafię wyrazić moje miłości, braterstwo jakie mię łączy z ludźmi, nienawiści jakie mię od nich dzieli.

.../3 kwietnia 1934.

...Tak długo jak będę się czuł jak dzisiejszego wieczoru webrany miłością dla wszystkich spraw tego świata, ludzkich i ziemskich, i nadochodzić mi będą myśli niewyraźne może ale przepelnione gorliwością, będę miał nadzieję i będę się czuł młody i nazawsze ocalony.

przełożyła ANNA KOWALSKA

„SYGNAŁY“

należy czytać
prenumerować
rozpowszechniać

JERZY KOWALSKI

ZDJĘCIA WŁASNE AUTORA

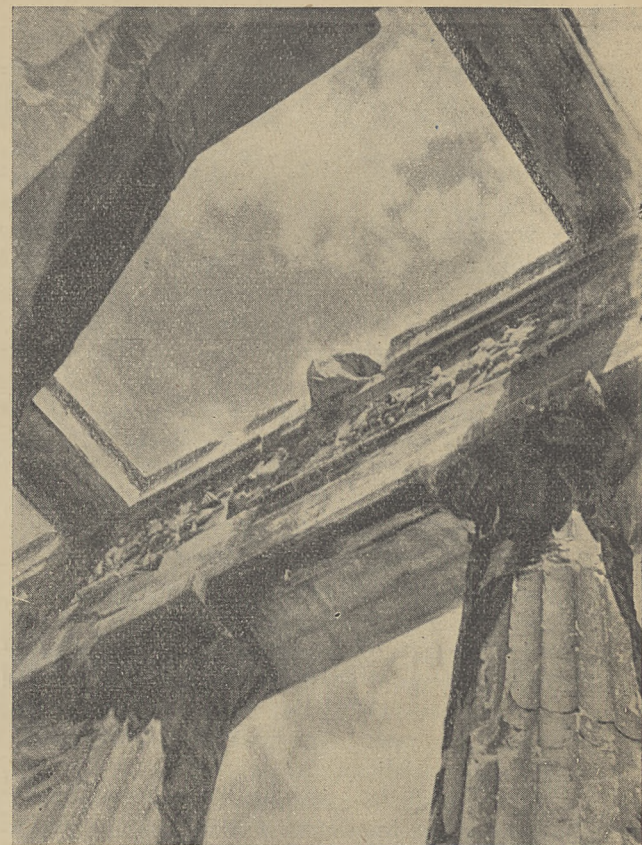
DZIENNIK PODRÓŻY GRECKIEJ

Zwiedzam za trzecim nawrotem podnóża Akropolu: nawrotem ze Lwowa, bo za każdym pobycem w Grecji byłem tu wiele razy. Kamienie są te same, zmieniają się wrażenia. Teatr Dionysosa, asklepiejon, portyk Eumenesa i teatr-odeon Herodosa... wracam do tych miejsc, ale nie do tych budowli. Cała ta przestrzeń jest mistyczna i w nią to się załączam. Oba teatry są tandetą niewartą uwagi. Fotografuję resztę orchestry z czasów przedperskich i obie świątynie Dionysosa. Kilka łokci paska kamiennego z dwoma zaciągami poprzecznie i kawałek ledwo dostrzegalny ciężki stary orchestry są jedynym świadectwem tragedji greckiej. Turysta spojrzy na nie mniej uważnie niż na zepsuty chodnik w swoim mieście. Kto zwiedza, szuka zwykle architektury monumentalnej, wyobraża sobie, że wielkości duchowe są kubiczne. Miejsce dawnej sceny jest zawalona odłamkami, jak wszystkie inne pomniki. Gdyby były pieniądze na budowanie muzeów na miejscu przy zabytkach, należałoby zostawić tylko to, co jest dosłownie *in situ*. Wtedy zabytek rysowałby się na ziemi, byłoby to czyste pismo monumentalne bez kleksów. To, co zleciało z góry, nie należy do ziemi. Zabytek ocalał się lepiej w swojej urodzie, wyrastającej z fundamentu, niż w komplecie zwalisk. Nie można go pozbawić swojej ziemi, jak nie można wydfubywać oka z twarzy, żeby je całe pokazać. Ziemia podnóża Akropolu jest zawalona głazami z powietrza i przez to nie można jej wydrzeć całej tajemnicy wnętrza. Zostaje wiedza kamieni, a zakryta jest wiedza o tem, bez czego niema zabytku: jego przyrodzenie do miejsca. To lekceważenie ziemi mistycznej jest jeszcze widoczniejsze na lewo od pomnika Nikjasza. Ponieważ nic okazałego tam nie widać, wielka połącz historii królewskiej podnóża Akropolu drzemie pod chwastami. Ciągła architektura, nie historia człowieka. Z tej historii sztuki wynikają takie nonsensy, że się konserwuje teatr Fajdrosa z jego ohydnym przeskenion, co kompromituje Grecję nawet w oczach turysty, i dziwadło Herodosa, które jest na poziomie miejskiego teatru lwowskiego, a buty turystów ścierają początki Aten. Odeion Peryklesa zostało pod domkami, bo jest pewne, że odkopałoby się fundamenty a nie monument do odbicia na pocztówkach, wobec tego się nie opłaci. Turystyka jest gałęzią przemysłu. Nieefektywne wykopaliska nie opłacają się. Nie widziałem ani jednego turysty przy świątyni Dionysosa. Zato całe grupy odczytują okropne napisy na fotelach urzędników rzymskich i fikcyjnych już wtedy kapłanów. Zajmuje ich to, bo i dziś w teatrach są loże prezydenta i referentów magistrackich. Sam Dionysos, który to wszystko stworzył, miał mniej widocznego przybytek. Zwany był wyzwolicielem. Od czego? Zapewne od urzędników, od obowiązków, od obyczajów. W tem miejscu ludzie upijali się nowym winem, gdy ze starego został ocet, i już pijani tańcząc śpiewali swoją religię, o tem jak to dawniej działały się wspaniałe rzeczy, wojny, zbrodnie, miłości, zuchwalstwa. Wieści o dawnych bogach i bohaterach ocalały tu niedaleko, na tem miejscu dla podrzutków. Dionysos był jedynym bogiem niesamolubnym. Gdyby miał arystokratycznych kapłanów, nie zezwoliliby na taką chaos, odegnaliby mity do swoich bóstw. Ale bóg małych winiarzy był proletariuszem, przybłądą, wyganianym przez starą religię. Zemścił się

w ten sposób, że pozwolił na swoim klepsku mówić o nich, co się żywnie podobało. Nie wdarł się na Akropol, gdzie oliwka już uszlachetniona i koń wiekowych właścicieli ziemskich zajęły ważniejsze miejsca.

Tu było wszystko do zrobienia jeszcze, herezja była łatwa, nieścigana policyjnie. Cała więc religia żywa i jeszcze twórcza tu się schroniła. Władze świeckie wybierane przez lud zajęły się tą uciechą ludową i przeprowadziły pierwszą organizację: dowód, że kapłani byli tu bez znaczenia. W tragedji nie ma żadnych symbolów, jest tylko stary styl ludowej zagadki zupełnie niemistyczny. Każdy ma prawo opowiadać mit na swój sposób, niema w tem ani potępienia, ani zbawienia: jest wyzolenie. Ludzkie pasje i sensacje wyżywały się w tej całkiem ludzkiej religii.

Sądzę, że archon basileus i Areopag, a cóż dopiero kapłani Erynij, nie zgodziliby się na uwolnienie Orestesa. Lud ateński uważał, że ma prawo rozgrzeszać u siebie zbrodnie dokonane gdzieindziej. Jest to zwykła konkurencja sąsiadujących miast. Tragedja wyrosła z ducha liberalizmu ateńskiego. Prości ludzie nie lubią wytrwałej surowości, ale lubią oglądać ukaranie buty. Niema innych sensacji w tragedji, jak ta: kryminalna. Walki uczuć, gorączka dążenia, niepokój twórczy nie stwarzają w tragedji konfliktów. Stale ktoś sobie zadużo pozwala i zobaczymy, co z tego będzie (a mogło być różnie). — Zdaje mi się, że zabawy dionysyjskie miały swój epilog, nie tyle kryminalny, ile ambulatoryjny. Ochotnicy szli z podbitymi oczami do źródła, które znajdowało się obok. Zrazu, sądzą, było ono dionysyjskie, bo wino piło się przecie z wodą (stary trik winiarzy, kiedy kultura wina była ograniczona, a wino również było zbyt drogie dla nabywców, żeby je pić czyste). Nieco dalej było drugie źródło niedionysyjskie, lecz lecznicze. Do niego chodziło się z chorobami oczu, lub bólami wewnętrznymi. Sąsiedztwo obu źródeł sprawiło, że Asklepios wdarł się pod bok Dionysosa. Jeszcze dziś w grotcie źródła widzi się wotum-błaszczę z portretem mężczyzny (w marynarce i długich spodniach), który trzyma rękę na sercu. Tego uleczył w tej samej pieczarze święty ortodoksyjny. Pieczara z cudownym źródłem (jak tyle innych) odstąpiła swoją atrakcję chrześcijaństwu, które podobno z początku wyśmiewało zabobony. Poprostu woda skalna jest dobra, a to w Atenach jest rzadkie. Ludzie dawniejsi sądzili, że dobra woda nie jest zjawiskiem naturalnym, tak jak sądzimy o niejednym uzdrowieniu. Przecież nawet mówimy: — chowa się dobrze, dzięki Bogu! — Bóg Asklepios był jakimś zagranicznym lekarzem, który leczył, jak człowiek (bogowie jedynie straszili). Wdzięczni klienci wynosili go pod niebiosa, i w ten sposób Asklepios jedynym skokiem w nich się znalazł. Miał już swoich kapłanów-lekarzy. Zbudowali sanatorium przy źródle. Miało ono naturalny portal ku źródłu; przez nonsens symetrii poczyniono (nie bardzo to pewne, kiedy) szereg ślepych portali w murze portyku. Kulturalni kapłani nie wpuszczali klientów do sypialni, póki ci się nie umyli porządnie w grotcie. W sanatorium nie leczono chorych, kapłani nie lubili ryzyka. Pytali chorego, jak mu się spało, i odsyłali go z odpowiednimi przepisami, głównie dietycznymi; kto miał sny kazirodcze, powinien



Widok z krużganka Partenonu na fryz, przedstawiający pochod panatenański, a w nim paradę konny.

nie jeść rzeczy ostrych i t. d. W czasach zmniejszonej pobożności ludzie leczą się więcej. W epoce aleksandryjskiej powstał drugi portyk. Reszta tego stoku została zabudowana także w tej epoce, a Herodes zatroskał się o symetrię i swój szal dionysyjski wygrał na drugim rogu stoku. Człowiek ten z arogancją Rzymianina ozdabiał ojczyznę tyłu mistrzów, ażeby nagrodzić jej rzymskie rabunki najcenniejszych dzieł sztuki. Ale ogłoszenie ze skarbów jest dostojniejsze niż natręctwo tandety. Panowie świata nie wiedzieli o tem. Oto do kogo zawsze świat należy! Resztki domostw przedhistorycznych świadczą, że stok ten zaczynał Ateński nieakropolskie Siedzieli tam ludzie, którzy przydali się na drodze Atenom sławnym: kleinai Atenai. Ludzie ci mieli swoich bogów, później zapomnianych, zachwyconych ziemią i jej dobrodziejstwami. Wyżej na skale wielkich plantatorów i koniarzy nie było dla nich miejsca. Stoję nad Odeonem Heroda; obejrzałem się mimowoli, jakby ktoś czytał na mnie za plecami: to fronton Panteonu wyglądał zza muru Akropolu. Zdało mi się, jakby to był rudy kot, który chce mi skoszyć na plecy. Porównanie nieszlachetne, ale przypomina mi sobie, że czułem też złość budowli, która czeka na mnie, żebym wziął u niej lekce; złościwie przyczają się: jesteś tutaj? Czekaj! — Postanowiłem nie iść na Akropol, ale dobre postanowienia trwają tylko chwilę.

Już jestem przed bramą Beulego i patrzę na pałacu skudztwa umonumentalnione przed Propylejami. Phylakos z tym rozsądkiem, który jest udziałem nieuczonych ludzi, odgadł moją narodowość; jest to wiedza każdego południowca, jedyna jego ciekawość, wskazująca przy każdym kupnie, przy szklance piwa lub lemoniady, przy numerze gazety; ofiarował mi garść polskich pieniędzy na sprzedaż. Zostały mu w rękach po moich rodakach towarzyszy z okrętu. Byli już tu i ofiarowali mi nieśładliwie to, czego banki tutejsze nie przyjmują. Odmówiłem. Phylakos chwilę milczał i ponowił ofertę, jakbym winien odstąpić od nierozumnego uporu. Stałem na miejscu 9 bram Pejsystrata. Przyjechałem po to. Phylakos czekał na mnie. Ci ludzie wiedzą poco żyjemy. Pożegnałem go, znowu odmówiłem, uciekłem przed nim na Akropol. Rozebrano świątynkę Nike źle ustawioną przez dawniejszych uczonych. Nowi uczeni ułożą ją z rozrzuconych kamieni na nowo, dokładniej. To samo było z Iljadą. Spoglądam podejrzliwiej. Moznaby usunąć asymetrię Propylejów, wyrównać linie krzyżujące się budowli na Akropolu, udoskonalić sztukę starożytną. Boję się, bo nauka nie lubi liczyć się z realnością błędów, jak liczy się z nią każda sztuka twórcza: literacka, artystyczna, polityczna, społeczna. Uczeni nie są twórcami: są wypychaczami, demonstratorami, konfekcjonatorami, preparatorami. Niemieckie zachwycenie okresem klasycznym ciąży nad pracami archeologicznymi Nie dowiemy się tak przedko, jak powstała Grecja i z czego, bo łatwy zachwyt będzie ciągle pędził dzieła o epoce świetności. Ogromna większość uczonych czuje się bezpieczna w rzeczach powszechnie uznanych i absolutnie pewnych czyli normalnych. Pisana przez nich historia Aten jest ekscerptacją tekstów, narazie niczem więcej ciekawości w tem niema. Filologowie mają najmniej ciekawości z wszystkich uczonych. Dlatego rewizje poglądów są u nich rzadkie, ideał klasycyzmu średniowieczny (exemplar!), apologetyzm i niechęć do historii rodzaju ludzkiego. Historycy sztuki nie interesują się okresami bez sztuki, styl stoi u nich nad pożytkiem, który jest przecież wyrazem stosunku do życia. W rękę tych ludzi jest Akropol gabilotką z okazami! Patrzę na południe, gdzie były dwa źródła, Ilysos, wodociąg Pejsystrata; w tę stronę obrócone były Pelazgikon i starsze Propyleje. Akropol został skolonizowany nie przez przybyszów od morza, lecz od lądu. Demokracją ateńska wykreśliła miasto ku gliniankom i ku portom. Wtedy Akropol znalazł się w środku miasta i stał się pokazem: utracił życie, a nabrał parady. W dzisiejszych Atenach



Schody wykute w skale wraz z prastarem osiedlem za Melite (przedmieściem Aten) ku Faleronowi, u wylotu Koile Hodos („Drogi Wklęsłej”).

MAGDALENA GROSS

JAK RZEŹBIĘ ZWIERZĘTA?

Rzeźbiarze rzadko mają sposobność wypowiedzieć się publicznie i drukiem — wypowiadamy się raczej w samotności naszych pracowni, w formach rzeźbiarskich. Spróbuję jednak coś niecoś powiedzieć o sobie.

Aby wytłumaczyć, dlaczego rzeźbię zwierzęta, muszę cofnąć się wstecz, aż do czasów akademickich. Uczyłam się w Warszawie u profesora Brevera. Tak, jak się to normalnie dzieje w akademjach, studjowałam tam akt i głowę. U każdego artysty istnieje potrzeba wypowiedzenia się. Potrzebę tę należy jednak zamknąć w bryle czy w plamach malarskich, ażeby powstała rzeźba czy obraz. Artysta, który pracuje już szereg lat, wytworzy dla swojej wypowiedzi świat kształtów czy kolorów, które będą mu odpowiadały i staną się trwałą cechą jego twórczości. Artysta młody walczy o te kształty, a ponieważ są one wynikiem poszukiwań i prób, więc posługuje się tym zasobem, który ma pod ręką — najczęściej więc światem kształtów używanym lub stworzonym przez nauczyciela.

Praca w akademji jest tylko wstępem do całej drogi zmagania i walk, jaka czeka młodego artystę po wyjściu z akademji. Traci on opiekę i kontrolę profesora i zostawiony jest nagłe samemu sobie. Jest to najtrudniejszy i najbardziej męczący okres, okres szukania własnej drogi.

Po ukończeniu studiów w Warszawie i Florencji, przez szereg lat robiłam tylko głowy i kompozycje figuralne. Praca ta jednak nie zadawała mi. Ciągle miałam wrażenie, że coś powtarzam, że to nie jest ta najbardziej osobista wypowiedź, do której każdy z nas dąży. Dopomógł mi przypadek: założono w Warszawie ogród zoologiczny. Odkryłam w nim świat nowych możliwości. Zainteresowałam się szczególnie ptak, który w zależności od wykonanego ruchu, może całkowicie zmieniać swój wygląd. Obserwowałam bąka, widywałam go siedzącego nieruchomo w krzakach na gałęzi z sztywną wioną w pióra, miał kształt prawie kulisty. Zaniewolony jakimś szmerem wystrzelał błyskawicznie szyją i nie ruszając znowu w kształcie torpedy Czarna stojąca nad stawem, napuszona i dumająca, miała każdej chwili nieograniczoną swobodę zmieniania swej sylwetki i formy. Gęś japońska interesowała mnie bardzo bryłowatością swych form. Świat ptaków nasunął mi nowe możliwości rzeźbiarskie, w których poczułam się świeższa, bezpośrednio i swobodniejsza. Przesłały mnie naśladować reminiscencje przerabianego w sztuce od wieków ciała ludzkiego, odświeżyła mnie i pociągnęła odrębność świata zwierzęcego, nowe formy, kształty i ruchy. Ogród zoologiczny pochłonął mnie całkowicie. Dzięki uprzejmości dyrektora ogrodu, dra Zabińskiego, który interesuje się bardzo sztuką, mam ułatwiony dostęp do zwierzęcych modeli. Praca moja w Zoo obfituje czasami w przeżycia zupełnie szczególnej natury: asystowała mi raz w czasie szkicowania w glinie kormorana — mała sroka. Wskakiwała na stołek rzeźbiarski i przyglądała się godzinami z widocznym zainteresowaniem mojej pracy. Pewnego dnia, gdy przyszedłam do ogrodu, zastałam ku memu zdziwieniu rzeźbę odkrytą ze szmat, która zabezpiecza się gliną od schnięcia, narzędzia rzeźbiarskie na ziemi, a cały mój szkic pokłuty był dziobem sroki. Najwidoczniej sroczka chciała mi pomóc w pracy.

Istotne tortury przeżyłam w czasie studjowania młodej lamy. Aby ułatwić mi obserwację, odgrodzono ją od rodziców. Ci, zaniepokojeni losem dziecka, co chwilę przybiegali do mnie i w momencie, w którym pogrążona w pracy nie zauważałam, co się wokół mnie dzieje — pluli na mnie zawzięcie. Takich przygód było wiele, ale nie przeszkadzają mi one, a ułatwiają raczej poznanie istoty odtwarzanego zwierzęcia. Dużo uroku ma dla mnie praca w ogrodzie zoologicznym.

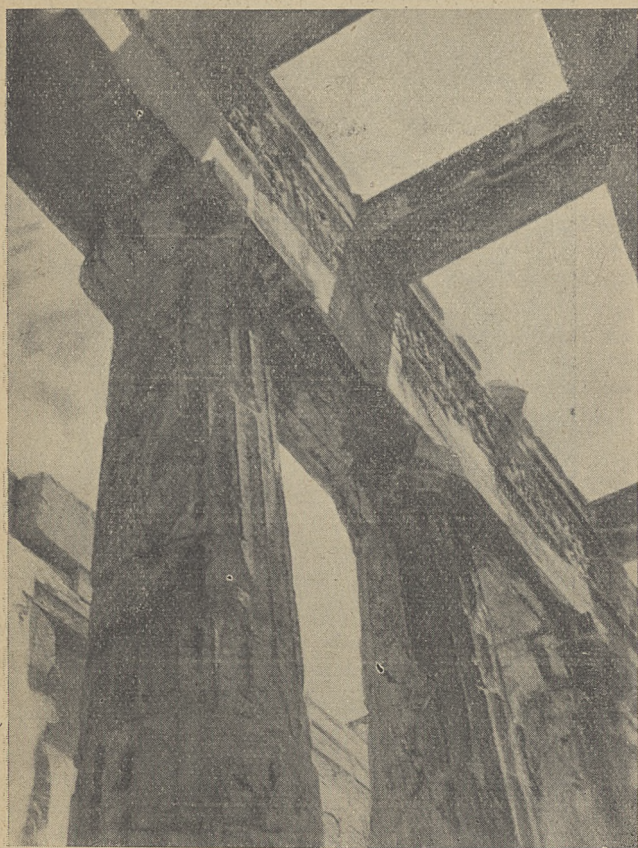
Po ptakach przeszłam skolei do ssaków. Ssaki w znaczeniu anatomicznym są bliższe człowiekowi niż żeli ptaki. Możliwe, że po okresie, w którym interesowałam mnie odrębność ptaka, zaczęłam szukać jednak tego, co jest najbliższe człowiekowi — drugiego człowieka. Może ta droga, coraz bliższą człowiekowi wróć do rzeźbienia figur ludzkich.

Pragnę jeszcze opowiedzieć przez jakie etapy przechodzi rzeźba moja od pierwszej impresji aż do skończonej formy. Najpierw obserwuję zwierzę, wybieram ruch, który mnie pociąga i który jest najbardziej charakterystyczny dla jego istoty. Potem robię szkice rysunkowe, czasami szkice w plastelinie lub glinie. W pracowni rozpoczyna się przenoszenie szkiców na model gliniany, transponuję widzianą naturę na wartość rzeźby. Wyjaśnię to na przykładzie: żóraw czy czapla mają różnobarwne pióra, różny od piór kolor i materiał dziobu i łap, żubr posiada skórę częściowo kosmatą, częściowo wydartą, rogi, oczy, czyli różne odmienne w swoim charakterze wartości — w rzeźbie jednak, naszkutk użyć jednego rodzaju materiału, stają się one jednowartościowe. Stąd widać, że chcąc stworzyć rzeźbę, która byłaby żubrem muszę go niejako transponować na inny język — nie natury lecz rzeźby.

Po skończeniu pracy nad modelem glinianym, odlewam go w gipsie. Gipsowy model przez świeżość nowego wprowadzonego materiału daje mi możliwość skontrolowania wyników poprzednich, uzyskanych w glinie i umożliwia mi prowadzenie pracy dalej w gipsie. Polega ona na jeszcze większym uproszczeniu formy, przez co chcę uzyskać jaknajwiększy wyraz plastyczny i jaknajwiększą jednaczność danego kształtu, po czym wprowadzam szereg szczegółów, które są potrzebne dla ożywienia powierzchni, podziału jej na mniejsze części, zmiażdżenia jej i scharakteryzowania danego zwierzęcia.

Po tym etapie pracy rzeźba idzie do odlewni brązu. Szlachetność odlewu w brązie polega na pięknie materiału, na różnych możliwościach, które z tego materiału wydobyc można i na obróbce. Najsamym robisz się z modelu gipsowego formę, czyli odciska się w t. zw. młku — bardzo miękkiej i lekkiej ziemi.

Zasadniczo robi się odcisk lewej i prawej strony, wystarcza to jednak tylko przy kształceniu tak nieskomplikowanym jak n. p. przy medalu czy monecie. Tam, gdzie rzeźba przez swój ruch lub kompozycję jest bardzo skomplikowana, trzeba zrobić formę z kilku części. Forma wędruje potem do suszarni. Po wysuszeniu, forma staje się twardsza; wtedy robi się z niej odcisk z młku, przez co uzyskuje się rzeźbę z młku, odpowiadającą modelowi gipsowemu. Rzeźbę tę zeskrobuje się ostrożnie, przez co się ją umniejsza. Dzięki temu umniejszeniu powstaje między formą a tą umniejszoną



Widok z krużganka Partenonu na fryz, przedstawiający pochód panatenański, a w nim paradę konniczą.

jest zawadą. Chłopcy z przesyłkami skracają sobie drogę, biegając od teatru do Propylejów. Domki zjeżdżają ze stoków tej niepotrzebnej skały. Widzi się na niej turystów, którzy źle się czują w mieście i nie dzielą jego życia. Cudzoziemiec, stojąc na Akropolu, nabiera przeświadczenia, że uzupełnił ten wymóg swojego wykształcenia, że wyspinał się na ten wysoki szczybel historii i kultury. W jednych twarzach widzi się apatię ludzi, robiących coś mało istotnego. Przy bridżu są soba a tu się męczą. W innych jest nastrój majówkowy. Jak dzieci w dniu pierwszej komunji, czekają na fotografję i lody. Trochę są niespokojni, czy istotnie jest tu coś (to, czego nie zauważają). Używają języka przycięć i muzeów. Wszystko jest wspaniałe, bo takie być musi, bo tak się należy. Gdyby ta wspaniałość była wątpliwa, to wiele innych rzeczy także stałoby się wątpliwych. Inni są tylko trywjalni, co jest ich naturalną reakcją na narzuconą wzniosłość. Idzie tylko o to, żeby tu być. Wchodzą o choco, w nadziei, że jest o wiele wspanialej i piękniej. Schodzą, wszystko jedno, rzecz jest załatwiona. Widzę uczonego. Trzyma w ręku kopertę z drukowanym adresem: Oxford. Jest rozgorączkowany, ale żona jego chce już wracać do chłodnego holu hotelowego. Zatarg, prawie sprzeczek. Potem widzę ją, jak siedzi za kolumnami Propylejów i czeka tetrycznie na entuzjastę. Może długo układali tam na północy wzię pierwej bytności na Akropolu. Akropol nie wnosi żadnej poprawki do ich systemu pojęć niefilologicznych.

Wracam uliczką tarasową po skokach kydatenajskich. Bramki na ogrody, pieczone talerze, wazy, rozety z gliny na gzymsach, akroterja. Lubilem chodzić temy uliczkami, bo sądzę, że tylko w nich zachowała się wizja dawnych Aten. Niedługo i one zginą z oblicza ziemi ateńskiej pod kilofami Amerykan i nie zostanie z Aten nic prócz wykopalisk i Aten Ottona i jego następców. Ostatnie dwa lata pożarły kilka uliczek w dzielnicy teatru dionizyjskiego i całe Ateny zbudowane na Agorze. Winienem się cieszyć z tego, a nie potrafię. Ateny średniowieczne zdają mi się bliższe starożytnych, niż Ateny rzymskie. W małych restauracjach pod winogronami, które zwisają z żerdek egzedr (jagody są tak wielkie i przeźroczyste w słońcu, że wyglądają na nieprawdziwe), ludzie siedzą przy stolikach. Na małą filiżankę kawy przypadają trzy duże szklanki zimnej wody. Para zrasza szkło, zamieni je w kryształ ciągnący wargi. Woda jest napojem kawiarnianym w Atenach. W największych restauracjach ludzie siedzą godzinami przy wodzie. Trzask warcab rzuconych z siłą po tawli. Jakiś kupiec podnosi ręce, krzyczy: pół tyk.

Piąta! Nie codzień musi się jeść obiad. Kupuje przy ulicy Ateny kiść młodych winogron wagi półtorej ki (2 kg.). Kupiec wynalazł ją w koszu, pokazuje trzem ulicom naraz, śpiewa wagę i cenę, jak dytyramb, podrzuca na dłoni 20 drachm (jedną złotówkę), którą mu dałem, wybucha śmiechem: jest to śmiech uznania dla cudzoziemca, który mówi językiem małego kraju.

Wracam do hoteliku i kontempluję dwa potworne karakony, wielkości daktyłów berberyjskich: jeden przy rurach wodociagowych, drugi pod radiatorem. Zadeptałem jedną pluskwę ateńską. Wyjadę na wyspy, tam gdzie często niema wodociągów, a klozety bywają zatkane. Dlaczego nie mogę sobie skombinować ojczyzny z polską zielenią, z czystością skandynawską, z ruchem Paryża, z energią angielską i z charis grecką? Dlaczego każda z tych rzeczy trzeba znajdować w jakimś nieodpowiadającym mi komplecie? Macham nogą, karaluch ucieka ku drzewom, za chwilę znowu podlezie do łóżka. Myślę rozpaczliwie o moim łóżku we Lwowie. Ale tam jest ulica Zyblikiewicza i pasaż z suchą fontanną prof. Thuliego.

Jerzy Kowalski



Widok z północnej baszty Akropolu na Agorę, odkopaną przez Amerykan. W głębi na skraju pola wykopaliskowego świątynia Hefajstosa (t. zw. Theseion).

rzeźbą próżnia, w którą wlewa się płynny bronz. Po zastygnięciu wychodzi odlew zupełnie daleki od obecnego wyglądu: chropawy i zanieczyszczony mukiem. Wszystko to trzeba usunąć, zanim przystąpi się do dalszej części pracy t. j. do cyzelowania. Najróznorodniejszymi narzędziami obrabia się brązowy odlew, gładzi się, akcentuje szczegóły, które niewyraźnie wyszły z odlewu i t. d. Ostatnim etapem jest patynowanie. Wszystkie odlewy brązu mają pierwotnie kolor, przypominający mosiądz. Chcąc otrzymać rzeźbę zieloną jak n. p. gęś japońska, czarną jak młoda lama, brązową jak koziołek, patynuje się ją czyli powleka odpowiednimi kwasami, które wywołują reakcję chemiczną.

Zapytano się raz Włosa Disney'a, czy trudno jest zrobić tak popularny dziś film rysunkowy. Odpowiedział, że to jest drobnostka, należy mieć tylko dobry pomysł. Zapomniał jednak dodać, że prócz dobrego pomysłu potrzebna jest taka drobnostka, jak 15.000 rysunków. Podobnie ma się rzecz z każdą rzeźbą, nawet z takim drobiazgiem jak gęś japońska, czapla, kozioł czy też perliczka.

Magdalena Gross

W październiku br. odbyła się w Lwowskim Zawodowym Związku Artystów Plastyków wystawa dzieł Magdaleny Grossówny, H. Selzera i Ludwika Tyrowicza. Obok dajemy dwie reprodukcje eksponatów tej wystawy.

Z WYSTAWY

W LWOWSKIM ZAWODOWYM ZWIĄZKU ARTYSTÓW PLASTYKÓW



Kozioł
MAGDALENA GROSS



Pejzaż z kościołem (autołtozajra)
LUDWIK TYROWICZ

III. Z J A Z D F I L O Z O F Ó W

W dniach 24—27 IX odbywały się w Krakowie obrady III Zjazdu Filozofów Polskich. Ciekawe są takie zjazdy. Zbiera się co parę lat elita umysłowa narodu, sam mózg społeczeństwa. Przeprowadza się ścisłą selekcję uczestników (zaproszenia i legitymacje!) i zamyka się ich w dobrze odizolowanych od pospólstwa salach uniwersytetu. Tam odbywają się niesamowite rzeczy. Zapalczywi uczeni odkrywają nagle świat, odbywają sądy nad rzeczywistością, wydają na nią wyroki, odmawiają jej racji istnienia lub szukają dla niej uzasadnienia, uduchowiają zwierzęcą naturę ludzką, mnożą świat przez absolut lub nicłość (czasem przez bardziej określony liczbę), dają ciała słowom lub rzeczy zamieniają na słowa, demonstrują prawa najsubtelniejszych kreacji. I co?

I nie! Prawie nikt ze zwykłych śmiertelników spoza murów gmachu nie wie nawet, że jest wogóle jakiś zjazd. Conajwyżej popularna gazeta, która o wszystkim wie, pożywi swych czytelników sensacyjną plotką, spreparowanym ad hoc demagogicznym morałem lub dowcipem na temat „naszych roztargnionych”. Zwyyczajny człowiek ma zresztą ustalony zgóry sąd: „Niech sobie gadają, świat się i tak od tego nie zawali!” I naprawdę się nie wali. Sami spiskujący uczeni zdają sobie z tego sprawę; byłoby niemile zdziwienie, gdyby ktoś na serio chciał zbliżyć do życia ich konkluzje, gdyby stał się płomiennym wyznawcą ich tezy. Nie! To, co tu mówimy, jest tylko dla nas, kasty „czystych” naukowców. Dla filozofowania. A filozofowanie — to Ding an sich. I zjazd też — Ding an sich. Nauka musi być czysta, przedustrojowa, przedspołeczna, przedżyciowa.

Wybitny logistyk prof. Łukasiewicz mówił do absolutysty Brauna: „To, co panowie mówicie, jest dla mnie absolutnie niezrozumiałe. I nie mam najmniejszej ochoty zrozumieć cokolwiek z tego”. Prof. Ajdukiewicz, semantyk, mówił o idealistach: „Problemy idealistów istnieją tylko na tle ich języka. Jeżeli uda się nam ich prawdy wyrazić w języku semantycznym, okażą się wyraźnymi fałszami”. Mówił Chwistek: „Badania moje i moich pomocników doprowadziły nas do zbudowania zupełnie nowego systemu matematyki i metamatematyki. Obecnie jesteśmy w fazie budowy języka dla wyrażenia naszych prawd”. Mówił prof. Zawirski: „Zakres terminu „zdanie prawdziwe” zależy tylko od języka, w którym się je wypowiada i ważne jest tylko w zakresie tego języka”. Polemizowano z przedstawicielką lingwistów: „Pani ma na myśli zupełnie inny język. My nie mamy nic wspólnego z językiem praktycznym i językiem filologów. Nasz język jest idealny”. Kto inny wyjaśniał: „Co innego jest język przyrodniczy, a co innego język logistyki”. Wreszcie konkludował prof. Kotarbiński: „Nie potrafimy nigdy się dogadać i korzystnie dyskutować, póki wcześniej nie ułożymy słownika języków filozoficznych”.

— Czyżby wieża Babel?

Oto inne próbki wypowiedzi poszukiwaczy syntezy. Chwistek: „Drogi twórczości są tajemnicze i metne i nigdy nie można przesądzić, czy z obłądnej bzdury nie zrodzi się myśl genialna”. Prof. Garbowski charakteryzował wnioski ostatniego Zjazdu: „wszelkie poczynania filozofii wprost druzgocące, wypowiedzające wyrok zupełnie zagłady wobec ich teoretycznej nicości, niekrytyczności, nielogiczności, naukowej szkodliwości. Filozofja staje się płataniną doktryn bezwzględnie ze sobą sprzecznych”. Prof. Gawecki próbował usprawiedliwić ten stan: „Istnienie obok siebie sprzecznych ze sobą i zwalczających się prób filozoficznej syntezy uwarunkowane jest istnieniem różnych typów reagowania na świat. Obiektywna wiedza zależy od subiektywnych właściwości twórcy syntezy, zawartych w idei naczelnej danego genjusza”. Tytuł referatu Witkiewicza był taki:

„O ontologicznej beznadziejności logiki fizykalizmu i pseudonaukowego monizmu i o perspektywach pluralistycznej koncepcji monadystycznej.” Zdaniem prof. Jasinowskiego: „Každy krok na drodze poznania naukowego jest równocześnie dalszym uwikłaniem się nauki w splotach zagadnień filozofii i metafizyki”. Reista prof. Kotarbiński wyznał szczerze: „Nazywacie mnie reistą. Ale ja sam nie wiem, czy nim jestem. Jeśli jestem, to tylko w 49%. 51% mojej filozofii to radykalny sceptycyzm.” I Kotarbiński zdobył oklaski całej sali.

Oto zapowiedziana przez „I. K. C.” — synteza.

Sceptycyzm („właściwie nie warto filozofować”), minimalizm („wolno nam conajmniej dotąd”), pesymizm („złe jest, człowiek ginie”), tolerancyjny pluralizm („ja tak, ty tak, on może jeszcze inaczej”), relatywizm („ale z innego punktu widzenia może być wprost przeciwnie”), dyktatorski absolutyzm („ja wierzę, że musi być tak, reszta mnie nie obchodzi”) — oto różne tony, których używano w głównych przemówieniach. Logiści, semantycy, pragmatyści, neopozytywiści, fizykałiści, logicy matematyczni, wronskiści, reisci, husserliści, tomiści — oto barwna skala przedstawicieli oficjalnych, poważniejszych kierunków. Właściwie, ilu mówców z katedry — tyle systemów i pomysłów.

Oczywiście ubolewano nad takim stanem rzeczy i proponowano różne lekarstwa i drogi wyjścia: 1) coraz dokładniej precyzować trzeba pojęcia, każdy włos kroić poprostu na czworo, 2) ułożyć czempredziej słowniki dla ustalenia wspólnego języka, 3) zaryzykować

heroiczny skok w metafizykę, 4) nawrócić do starych poczciwych poglądów, 5) uwierzyć w objawienie boskie, 6) odrzucać zagadnienia jako nierozwiązalne, 7) niech każdy spekuluje dla siebie, żyjmy od systemu do systemu, z dnia na dzień, 9) zacieśnić się do naszego kręgu specjalizacji, 10) urównouprawnić wszystkie naraz systemy.

Ogólnie narzekano na rzeczywistość: jest chaotyczna, zgruntu wroga człowiekowi, nieuchwytna. Co z nią robić? Oddać się jej z zamkniętymi oczami, uciekać od niej lub toczyć ją mózgiem milimetr po milimetrze?

Referaty na sekcjach odważały się niekiedy przekraczać uświęcone granice czystej nauki i wejść w kontakt z zagadnieniami aktualnymi i praktycznymi. Ale i tu naogół panowało przyczynkarstwo historyczne i terminologiczne. Właściwi filozofowie unikali brudnej rzeczywistości i np. w kwestji „O rasizmie i komunizmie” z czystym sumieniem pozwolili się wyręczyć — prokuratorowi. Ton i treść wywodów w tej sprawie były istotnie prokuratorowskie. Ten też jeden tylko referat dostał zaszczytu streszczenia przez prasę K. A. P. u p. t. „Co filozofowie polscy sądzą o komunizmie i rasizmie”. Pozatem oficjalna nauka naogół nie wiedziała, co robić z takim fantem jak — socjologia. Poszczególne referenci zadawali się próbą ustalania absolutnych definicji pewnych pojęć — etycznych. Również sekcja estetyki była kopciuszkim. Sprawy społeczne i sztuka — są to dla czystych filozofów sprawy zbyt kłopotliwe. Każda spekulacja w tych sprawach szuka konfrontacji z rzeczywistością konkretną. To już nie to, co ontologia! To też najistotniejsze referaty na tych sekcjach mieli materiałisci dyalektyczni. Na sekcji estetycznej doskonałym był referat Ossowskiego, który charakteryzował sytuację sztuki w ustroju kapitalistycznym. Teoretycznie o związku sztuki z bazą społeczną traktował referat Fika: „O podstawie klasyfikacyjnej dzieł sztuki”. Sprawy muzyki i filmu omawiały w swych referatach dr. Łobaczewska i dr. Lissa.

Myśl socjalistyczna była jedynym optymistycznym akcentem, który się przeciwstawiał ogólnej depresji i bzdurności. Do najciekawszych zebrań należały te, na których znaleźć się mogli przedstawiciele dyalektyki historycznej. Dyskusja nad referatem Stawarskiego i Chwistka, referaty Lewińskiego („O genezie społecznej systemów idealistycznych”) i prof. Rudniańskiego („O stosunku teorii do praktyki w świetle materializmu dyalektycznego”) były najwyższymi momentami całego zjazdu.

Zjazd był pouczający. Warto było słuchać referatów, aby upewnić się, że niewiele jest w filozofii uniwersyteckiej rzeczy godnych przemyślenia i ocalenia, i aby jeszcze raz wyciągnąć wniosek, że harmonia między usadowioną filozoficzną a podstawą społeczną kultury burżuazyjnej jest jak najidealniejsza.

Ludzie tej filozofii próbują wszelkich zaułków i wszedłszy w nie, stwierdzają, że niema wyjścia. Symboliczny charakter miał występ prof. Kotarbińskiego, najszczerzego jej przedstawiciela, który w swym przemówieniu, kończącym zjazd, podcinał gałąź, na której się usadowiła oficjalna nauka. I on, najradzykalniejszy sceptyk i indywidualista, zbierał huragany oklasków. Symboliczny był także fakt, że jedyny referat już w tytule zaznaczający stanowisko marksistowskie, został wyrzucony poza granice oficjalnego zjazdu. I właśnie na tym referacie padły słowa, tak silnie kontrastujące z nastrojem całego zjazdu: „Tylko ta nauka staje się narzędziem w dziele świadomej i celowej budowy bytu społecznego. Ona wskazuje drogę do istotnej wolności. Cechuje ją optymizm poznawczy, jaknajściślej związany z optymizmem społecznym”. (prof. Rudniański.)

I. Gojan

JERZY KAMIL WEINTRAUB

PRÓBA POWROTU ALBO STYCZEŃ 1936

*W dawnym mieście najeżonym kolcami wież,
w oberży Pod Rezedą, w najczerwieńszej z altan
pulchna Grätchen śpiewała rozdzwonionym altem
a poeta przy winie pisał dziwny wiersz.*

*Wtedy zgodnie dzwoniły gotyckie zegary,
płynące w srebrnych czołnach bezmiarami nocny,
a flety rozedrgane w najpłynniejszej arji
błogosławił sam Wolfgang Amadeus Mozart.*

*A dzisiaj, przyjacielu, próżno rekwizyty
chcemy wskrzeszać, przetapiać w śpiewna rzeczywistość.
Próżno gwiazd poszukiwać w tamte niebo wbitych,
w zapachach przewiązanych wstążeczkami listów.*

*Niepokój nie pozwala patrzeć się za siebie.
W siebie nam nie pozwala spojrzeć srebrny strach.
A teraz płynie ciężko po zimowem niebie
księżyc, jak zagubiona i samotna kra.*

*Widzisz teraz jak ciężko labiryntem dni
uwikłanym w samotność pośród fikcyj płynąc.
Dlatego to zamknięcie i dlatego lzy
i dlatego powroty w czas, który odpłynął.*

*Oto wracasz w klasyczną regularność strof,
patrzysz w zmierzchy sielanek w średniowiecznym mieście —
w dali arje Mozarta w pianissimach mra
a w czerwonych altanach milkną stare pieśni.*

*Już jestem, przyjacielu, w rzeczywistym styczniu.
Wszystko już jest konkretne. Oto jesteś Ty.
Odpłynęła, jak stary statek, romantyczność.*

Płyniemy w inną stronę. W przyszłość. W wzbierające dni.

HALINA GÓRSKA

Powieść o chłopach

Władysław Kowalski W Grzmiacej, Warszawa, 1936, Wydawnictwo M. Fruchtmanna.

Wiele napisano ostatnio książek o wsi polskiej. Wiele stała się w literaturze modna. Książka jednak Władysława Kowalskiego, syna fornała, daje nam jakiś zupełnie nowy obraz wsi. Wsi, widzianej nie od zewnątrz oczyma inteligenta miejskiego, ale od wewnątrz. Oczyma chłopca. A obraz ten, to obraz walki o byt, surowej, nieustannej, nieubłaganej, pełnej czyhających zewsząd niebezpieczeństw.

Napróżno szukałby kto w tej książce sielankowego spokoju wsi. Każdą belkę dachu nad głową, każdą wiązkę chróstu na opał, każdą garstkę paszy dla bydła, trzeba zdobyć, wydrzeć, wychytrzyć, bo inaczej zmiele cię na proch, odrzuci jak bezużyteczny łachman, życie. Zewsząd czyha niebezpieczeństwo: dwór, strażnik, ksiądz, poborca podatkowy, agitator, wszyscy oni oszukają, przychwycają, wydrą każdy grosz, który zdołałeś odłożyć, wciągną cię w odmęt groźnych spraw i niebezpieczeństw. I niesposób się wymigać od tej walki, niesposób od niej uwolnić.

— Chłopek — mówi jeden z bohaterów Kowalskiego — jest jak zając, wiecznie się przed kimś płoszy, wiecznie przed czemś ucieka.

Uciec jednak nie może. Wiąże go ziemia. Ziemia, na którą Kowalski patrzy zgoła inaczej niż patrzyli dotychczasowi autorzy „chłopskich”. Ani śladu sentymentu, ani śladu owego głębokiego przywiązania, które uważaliśmy dotychczas za najbardziej zasadniczą cechę chłopca polskiego.

Jeden z bohaterów powieści, Kubas, cały wysiłek życia obraca na to, by wykształcić syna i wraz z nim wyrwać się z Grzmiacej do miasta. Rzemieślnik, woźny, stróż, każdy człowiek w mieście, wydaje mu się godny zazdrości. A jeżeli inni chłopcy pokpiwają z niego, to jedynie dlatego, że nie wierzą, by się taka rzecz mogła chłopcu udać.

„Ba! Niejednemu miasto pachnie” — mówi Skowrońska. — „Ale chłop się na tem upłagał, a rzadko którego ziemia popuści do miasta. Tu musi jak ten pies warować! I w biedę, i w mróz, i w wszelaką snotę! Musi!” „Bo panowie czegoś lubią, jak chłop jest taki do ziemi przywiązany...” — pokpiwa autor przez usta innego ze swych bohaterów. Drażni go także nasz idylliczny stosunek do natury. Opisy „kwitnących sadów”, „szumiących złotem łąków”, „spokojnych łąk i lasów”, kładzie zawsze w usta „szlachciców” i zaprawia je ironią. On przecież wie, że we wsi niema ani spokoju, ani bezpieczeństwa, że każda pięćdziesiątka tej ziemi złana jest potem i krwią. Wie, że tę „pachnącą trawę” trzeba zdobywać dniami pańszczyźnianego niemal odrobku, a często ponieważ godności ludzkiej, a drzewo z tego lasu kradzieżą — „bo choćbyś nie chciał być złodziejem, to musisz”. Toteż z umyślną, naprawdę chłopską zaciętością, unika opisów natury, które u Reymonta stanowią tło każdego niemal rozdziału. Z ukrytem szyderstwem uwzględnił w opisach jedynie urodzajność lub nieurodzajność ziemi i jej „strategiczne” wobec dworu, utrudniające lub ułatwiające wypasanie bydła. Grzmiaca jest pozbawiona pastwisk i walka o dworskie ugory, jest niemal zasadniczą treścią książki.

A jednak... a jednak wszędzie tam, gdzie Kowalski daje w kilku linjach, a często w kilku słowach zaznaczony obraz wsi, obraz ten jest tak plastyczny i tak sugestywny, że mimowoli musimy pomyśleć, że mógł go napisać właśnie tylko — chłop.

Czemuś równie nowym jak stosunek do ziemi, jest dla nas w książce Kowalskiego stosunek chłopów do religii i do duchowieństwa. Od lat przyzwyczailiśmy się do tego, że chłop jest głęboko religijny i że ksiądz posiada na wsi decydujący wpływ. Tymczasem w książce Kowalskiego widać wyraźnie początki fermentu. Kubas traci podczas wojny (akcja powieści rozgrywa się w latach 1914—1919) wiarę i przestaje chodzić do kościoła, Sobieraja drecze przed wypowiedzią wątpliwości. Olbrzymia zaś większość chłopów praktykuje wprawdzie i wierzy, ale księdzu nie ufa. Ksiądz bowiem, tak samo zresztą jak nauczyciel i każdy inny „pan”, to także szlachcic i „z szlachcicami do spółki kręci”.

„Co ksiądz odkoczy na kazaniu od ewangelii i zazwyczaj takie co inne mówi, to mu nie wierz. Bo się popłaczysz, a od ciebie kto inny?”

Wysoce charakterystyczna jest pod tym względem sprawa najpobożniejszej baby we wsi, Kiernozichy. Dla Kiernozichy każde słowo księdza jest jeszcze (pozwornie) ważne i kiedy ksiądz każe się modlić za niemieckiego cesarza, choć dawniej kazał przeciw za „ruskiego”, Kiernozicha chodzi od chłopca do chłopca, rozpytując o przyczynę tej zmiany. Chłopi opędzają się od niej wzruszeniem ramion lub machnięciem ręki. — Takie tam szlacheckie kręactwa! Nie mają to innych kłopotów? — Ale Kiernozicha nie może sobie dać rady. Przecie ksiądz jest mądry i uczony, więc kiedy zmienił zdanie, to musi coś w tem być.

Kiedy jednak Niemcy okazują się takimi samymi, a nawet gorszymi gnębielami od „ruskich”, a sama Kiernozicha zostaje pobita przez żandarma, oświadcza z tryumfem: „Widzita? Zaraz mi się wtedy tak myślało, i jak się ksiądz kazał modlić za jego cesarza. tom ofiarowała ten pacierz za dusze w czyśćcu cierpiące!”

Nieufność do księdza, pana, nauczyciela i wogóle do tych wszystkich, których chłop łączy jedną wspólną nazwą „szlachty”, lub wysługujących się szlachcie (pisarz, strażnik), jest bronią, której wyzbycie się uważa albo za głupotę, albo za zdradę interesów gromady. „Szlachcic” nie powinien wiedzieć nietylko o tem, co się we wsi dzieje, ale nawet o tem co wieś myśli i jak czuje. Na wszelkie pytania chłopcy mają zgóry przygotowane odpowiedzi, takie właśnie, jakich panowie się spodziewają i jakich sobie życzą. Na pytanie profesora czy dziedzic Olpiński (pastwiący się nad chłopami degenerat) dobry był dla nich, Sobieraj odpowiada — „O! Daleko było szukać takiego pana jak pan Olpiński!” Zapytany o księdza, odpowiada ze zgorzeleniem: „A jakże księdza nie kochać?” O Niemcach zaś, łupiących nielitościwie wieś, powiada: „Moim zdaniem to niema jak Niemcy! Porządek jest, złodziejów wymordowali!”

Gdy zaś wiadomo co odrzec, „żeby się na zle nie obróciło”, to wtedy — jak poucza swego chłopca Kubas — „najlepiej udać przyglupka. Bo jak się czasem człowiek zapłaczę, to nie może skombinować, jak wykrecić. Im nie można, jak psom prawdy mówić! Bo oni są gorsi od psów”.

Nieufność gromady chłopskiej i jej solidarna postawa to jedyna obrona wobec dworu, Rosjan i Niemców. Chłopi mogą się nienawidzić między sobą, ale jeden drugiego nie wyda ani przed strażnikiem ani przed dworem. Może Gawrys przyczaić się na Kubasia z kłonicą, ale nie zdradzi jego gorzelni, a Kubas nie wyda kryjówki, w której Gawrys ukrył przed Niemcami zboże. Ta sama solidarność łączy chłopów ze służbą dworską. Gdy pan lub rządca ich obserwuje, są najzacieńszymi wrogami, w istocie jednak istnieje między nimi cicha, niepisana, a przecież obowiązująca umowa: fornał, karbowy i gajowy rozumieją, że chłop nie wyżyłby, gdyby naprawdę pilnował lasu i łąki, chłop rozumie, że nie wolno mu ich narażać i że dworski musi panu „świecić bakę”. Kiedy jednak przychodzi rozstrzygająca chwila, fornał mimo niebezpieczeństwa przestrzega chłopca, chłop nawet za cenę tak potrzebnych w Grzmiajej pastwisk nie pójdzie zastąpić strajkującego fornała. I dzieje się to nie naskutek jakiejś agitacji uświadamiającej chłopom ich „solidarność klasową”, lecz naskutek twardej konieczności życia.

Stosunek chłopów do Żydów jest również uwarunkowany nie agitacją, lecz potrzebami gromady. Chłopi lubią Mendla Potnika, nienawidzą niemieckiego szpiega i wyzyskiwacza Berka. Hasło jednak „swoją do swego” nie pociąga ich bynajmniej. Kubas objaśnia Łazowskiemu, że „łyk” z miasta nie jest bynajmniej „swoim”.

„My ich tu tych katolickich handlarzy łykami we wsi nazywamy. To te łyki dubelt gorsze od Żydów. Więc jakby te same łyki byli, znoweby zrobili i jużby nas dawno zjedli. To tylko te wyrobniki w mieście ujdą, oni z chłopca nie kpią. A łyk póty bierze poki bierze, a jak wzięł to już kpi...”

Nienawiść i nieufność do szlachty kształtuje także stosunek chłopów do niepodległości. Chłopi boją się jej jak ognia, wyobrażają ją sobie bowiem jako nieograniczoną już ani przez „ruska”, ani przez Niemca władzę szlachty.

Kiedy syn Kubasia Janek chce iść bić się, „żeby Polska była wolna”, oburzony Kubas woła:

„To cóż mnie może obchodzić jego (pana) Polska, że on ją chce mieć i buszować w urzędach... Jego! Bo od tej ruchawki w piątym roku, często się o tem słyszy. Od kogo? Od księdza i pana. Chłopca na to nie nabiorą! Jeszczeby tego trzeba było, aby im dopomóc do plecenięcia bata! Niemiec teraz dusi, bo głodny. Ale szlachcic polski wtedy najlepiej dusi, jak się naję dosyta. Ma wtedy humor do tego! To sobie zapamiętaj!”

Gdy zaś Janek mimo to ucieka do Legionów, Kubas wyrzeka się syna: „Jeśli już takiej psiej natury nabrał, jeśli chce chłopów szlachcie zaprzedać, Odolnickiego na urząd nosadzić, to niech tam gdzie zdechnie w świecie! Wszysko mi jedno!”

TADEUSZ ŻAKIEJ

PUŁKI ODCHODZĄ

Trąbki wieczornych sygnałów trącają mrok czerwony. Klaskanie kopyt o drogę, juchtowy chrzest odmarszu. Potrząsa śniadą ręką zadławiony galop koni. Furkot proporców w twarz tłucze i twarde czoło marszczy.

Od zgasłej klingi rzeki nawiewa ciemnym śpiewem. Skrzypiąca krata lasu trze o źrenice wilgotne. Krew w grube żyły ciepło snu zgubionego wlewa. Zdrowy i ostry zapach koni, skóra świeżych i potu.

W mgieł parnych ciepłe nawisy wpływają czarne balony. Rzęce żółte wypłoszą rosę miazdzące kopyta. Nad grzywą rozwiana zęby zwarte szklivem zadrzwonia. Krew szarpnie wargami. Koni stanie. W grzechocie trąbek świt.

NA TOALECIE PANI

niezbędne wysokowartościowe preparaty kosmetyczne:

D-ra Lustra

Mleczko „Lityna”

D-ra Lustra

Puder Higieniczny dla cery tłustej

D-ra Lustra

Cleansing Cream

D-ra Lustra

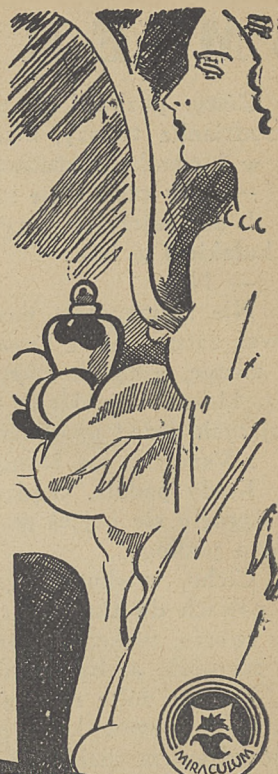
Puder Egzotyczny Roślinny idealny do pielęgnowania cery normalnej i suchej

D-ra Lustra

Krem „Oxa”

oraz inne preparaty do indywidualnego pielęgnowania cery.

D-ra LUSTRA
PREPARATY LEKARSKO-KOSMETYCZNE
•MIRACULUM•



Stosunek ten zmienia się, gdy po wypędzeniu Niemców, przez wieś wieje jakiś nowy powiew wolności i nadzieja lepszego jutra. Pokorniej dziedzic i rządca, fornał i chłopci naradzają się na wiecach, pojawiają się afisze: „Ziemia... Władza... Wiedza...”

Jeden tylko Kubas patrzy ponuro i nieufnie, radzi nikomu nie wierzyć i na nic nie czekać, a odrazu brać. Ale chłopcy czekają na „Asło”. „Asło” nie przychodzi. Tak wartko już zda się płynący strumień nowego życia wraca do dawnego koryta i płynie powolnie, z trudem torując sobie drogę wśród coraz to nanowo dorzucanych głazów.

A jednak ta smutna książka o chłopskiej doli i chłopskim życiu, które jak mówi Kubas „zawsze się wali od jakiegoś przypadku, choćbyś nie wiem jak molił się i budował”, nie jest wcale ani łzawa, ani beznadziejna.

Przyczyną tego jest chyba chłopska tężyzna autora. Autor cierpi, walczy, ale nie rozczula się. Nie umie się rozczulać, tak jak nie umieją rozczulać się nad sobą jego bohaterzy. Ostry mazurski dowcip, drwina i humor wybuchają u nich przy lada okazji, zdawałoby się nawet najmniej ku temu stosownej. Gdy żandarm niemiecki Raciążek ściga batem Kiernozichę, to zimna wściekłość nie przeszkadza bynajmniej chłopom ryczeć ze śmiechu, że baba tak zabawnie śmiga przez pole. A śmieszka i doskonala aktorka Skowrońska „odstawia” we wsi, ku ogromnej radości chłopów, wszystkie nieszczęścia Kubasa.

Myliliby się jednak ten, kto by sądził, że w śmiechu tym rozplywa się cokolwiek. Tak jak myliby się ten, kto by myślał, że rozbicie wszystkich nadziei i złudzeń Grzmiajej oznacza rezygnację.

Na ostatniej stronie książki wędrujący do aresztu Sobieraj i Kubas spotykają Kiernozichę. Wdowa Kiernozicha jako jedyny niemal dobytek posiada psa. Ale Kiernozicha nie ma szczęścia do psów. Pierwszy pies urwał się z łańcucha i został zastrzelony przez pijanego rosyjskiego strażnika Korolenkę. Kiernozicha splotała się i wzięła drugiego Drugiego (znowu urwał się z łańcucha) zastrzelił niemiecki wachmistrz, bo Niemcy nie pozwalali trzymać psów. Kiernozicha splotała się i wzięła trzeciego, którego polski już policjant zabił podczas strejku fornała. Myśleli, że już więcej nie weźmie psa, aż oto widzą, i dzie od Młodziankowicz i — prowadzi szcenną sukę...

Uśmiechamy się mimowoli i myślimy, że nie zgina ani chłopcy z Grzmiajej, ani kraj, w którym poczują się gospodarzami i na którego straży stana.

I sądzę, że autor jest tego samego zdania i że daleki od rozpaczliwej gwizdki przez zęby piosenkę, która jak refren przewija się poprzez karty książki:

Pański konik rączy
Skry z podkówek wali
Chłopskie nogi — choć powolne
Ale zajdą dalej...
O bach, bach! bach, bach!
Ale zajdą dalej!...

**OLEUM
PETRAE
„GLIMAR”**

nafta kosmetyczna, absolutnie bezwonna, szybko schnąca, usuwa łupież, pielęgnuje idealnie włosy, jest doskonałą bronią w walce z ich chorobami.

Ukazała się aktualna broszura

PALESTYNA NA WULKANIE

Cena 30 gr., stron 50. Odsprzedawcom rabat.

Zamówienia i pieniądze na adres **O. BOCHNER**,
Lwów, Skrytka poczt. 254.

ŚMIERĆ TU FU

Zółty, pozbawiony zarostu dozorca, o nalanej jak wrzodząca twarz, niczem drapieżne zwierzę rzucił się w kierunku nieruchomej postaci.

— A ty czemu nie robisz?! Zasnęłaś, cholero?! No. I nie zajrzawszy nawet w twarz robotnicy, pchnął ją kułakiem w bok:

— No...

Nie zatrzepotała nawet rękami. Nie próbowała się nawet zatrzymać o krawędź warsztatu. Upadła głucho na ziemię, z tą charakterystyczną dla trupa obojętnością, która nie pokłada nawet pod ciało rąk, zabezpieczających przed upadkiem na twarz.

„Wszystko już jedno“...

Kiedy padała, skądś, znad sąsiedniego warsztatu, wyciągnęły się czyjeś ręce. Nie zdążyły pochwytać. Na sem o podłogę...

Cicho, w skupieniu, z ostrożnością, przysunęły się na palcach do zimnego ciała. Ugięły się kolana, pochylały twarze, nisko, nizinie, do samej ziemi. Tak schyla się człowiek, ażeby podnieść znalezionej bombę.

Drobne żółte ręce, z czarnymi nagniotkami na dłońach — te same, które przed chwilą nie nadążyły z oszczędzeniem małej Tu Fu ostatniego ciosu — z chciwością łupieżcy padły na trupa. Zaokrąglone we wściekłym skurczu palce, niczem szpony drapieżnika, wczepiły się w okolicę gardła. Kilka krótkich, rwących ruchów — rozdarty od góry do dołu szary chałat fabryczny odsłonił przezroczytą, pokrytą siecią niebieskawych żyłek, szyję, zapadłą klatkę piersiową i chorobliwie wdęty brzuch.

Rozdarta obroza chałatu zwolniła uciskane tętna i ze szpary między wargami wysączyło się i pociekło po policzku jeszcze kilka kropel krzepnącej już krwi.

— T o w a r z y s z k i !

Skąd wzięło się tutaj to słowo?

Jaką drogą przeniknęło te mury fabryczne, od trzech lat już oddzielające zamknięte tu robotnice od zewnętrznego świata, aby wiadomości zewnątrz nie wyszły na światło dzienne i aby ferment zewnętrzny nie zaraził swoją świeżością stęchłej atmosfery niewolnictwa, panującej wewnątrz fabryki?

Czy pojęcie towarzysza niedoli tkwiło już w ich sercach tam, w zapadłej wiosce chińskiej, stukilometrową odległością oddzielonej od Szanghaju, w glinianych lepiankach ojców-chłopów, zaszczytów czynszami i podatkami, które płacili Kuomitangowi i bogatym posiadaczom ziemskim, rujnowanych rokrocznie potwornymi wylewami rzek lub upiornymi suszami, nie mogących po całorocznej harówce zapewnić rodzinie ryżowych otrąb dosyta?

A może ten krzyk solidarności klasowej mimowoli wszczepili w nie grubi, elegancyjści kontraktorzy, którzy kupili je od rodziców po dziesięć dolarów za sztukę; a może wyczytały go z bolesnych spojrzeń robotnic, które były właśnie odchodzącą zmianą, gdy przybyły one, nowe, poto, aby po trzech latach, sterawszy siły i zdrowie, również odejść w bagno nędzy i prostytucji?

Może wreszcie świadomość wspólnoty interesów i celów zrodziła się w nich sama, z cierpienia czternaściodziesiątgodzinnego dnia pracy, z katuszy dymu i pyłu fabrycznego, z ohydy śmierzdzących i zapluskwionych legowisk, z lęku przed kułakami i przekleństwami dozorców fabrycznych, ze wstrętu do różowego ryżu i zgniętych liści jarzynowych, z nienawiści do czang-kaj-szekowskiego „Ruchu Nowego Życia“?

A może wręcz, światu dzisiejszemu ku hańbie, wyrósł ten okrzyk buntu ze skrwawionego strzępu ciała

małej Tu Fu, która zmarła, nie doczekawszy się nawet szklanki wody, w ciemnym kącie tkackiego warsztatu?

W przeddzień miała krwotok.

Wdychane przez długie trzy lata, mikroskopijne ziarenka kurzu, mniejsze stokroć od najmniejszego ziarenka piasku, twardsze od najtwardszego granitu, a ostrzejsze od djamentu, wygrzyły w płucach małej Tu Fu potworne wyrwy, bulgocące krwią i sygnalizujące krwawym kaszlem — suchoty.

Chwyciła ją przy pracy. Schyliła się pocios nad warsztatem i nagle poczuła, jakby jej kto szmatą zatkał gardło od środka. Na języku miała lepki smak krwi. Z całej siły zacisnęła wargi. Krew buchnęła nosem... Jaskrawo-czerwona plama na jaskrawo-żółtej tkaninie, opinającej krosną...

Podpatrzył to dozorca i zbił ją do nieprzytomności. Pięściami po głowie i nogami w brzuch...

W nocy dostała silnego krwotoku. Nazajutrz przy pracy znowu, tym razem — śmiertelny.

Robotnice stały przez kilka chwil nad nagim trupem bez słowa i bez ruchu.

Potem nagle, stanowczo ale powoli, wzięły go na ręce. Przez chwilę zdawało się, że podnosi jakiś wielki ciężar, ażeby, zarzuciwszy go sobie na plecy, zanieść na nalezne mu miejsce. Ale to tylko przez chwilę...

Nikt nie mógł wątpić: ręce wyprostowały się w górę; to nie był ciężar świętu a drogi; to nie była pamiątka ani relikwia; to był sztandar boiowy, który uczyniono z okrwawionego ciała robotnicy, krwią swoją wzywającej towarzyszek do walki i do zwycięstwa.

— T o w a r z y s z k i ! Ona nie umarła. Ją z a m o r d o w a n o !

Stanisław Nadzin

NASZE ROZMOWY

Pierwszy raz posiedzenie zespołu „Sygnałów“ uczczone zostało winem, pierwszy raz byliśmy naprawdę razem. Oczywiście i przedtem znajdowaliśmy się w jednym pokoju, strzeżeni przez ogromną agawę i malutką palmę, cudem żyjącą w gęstym dymie, ale teraz byliśmy razem, dlatego że równocześnie przeżywaliliśmy te same uczucia. Każdego z nas zaskoczyło własne wzruszenie, najpierw smutku, kiedy „Sygnały“ zawieszono, potem radości, że oto znowu będą wychodziły.

Układamy nowe plany, obiecujemy sobie cuda. I Polska, i świat, no i oczywiście Lwów. Jesteśmy łaskawi i optymistyczni, chociaż dużo jest kłopotów, bo mimo że „Sygnały“ jako tako się sprzedają, ale panowie kolporterzy nie zwracają pieniędzy, redaktor nie ma zaco zrobić objazdu po Polsce, by ściągnąć pieniądze od opieszłych i porozmawiać z autorami. Są stare długie w drukarni. A prócz długów bardzo dokuczliwi bliźni.

Oprócz dokuczliwych bliźni są jeszcze bardzo mili, ci, którzy z wszystkich stron Polski przysyłają nam dobre słowa. Wiele listów przynosi listonosz do „Sygnałów“. Nawet nie wiedzieliśmy, że istnieją te wszystkie Wólki, Różanki, Gródki. Oto ktoś z Wiłna dopomina się o artykuły o nowej muzyce, z Krzemieńca prosi o filozoficzne, z Mińska Mazowieckiego żąda wiadomości aktualnych. Łódź nie żąda niczego. Najmniejszy pokup „Sygnałów“ jest właśnie w dużej Łodzi.

Odprowadza nas do bramy stary wilk Nero, który zawsze udaje chorego, gdy się na niego przez dłuższy czas nie uważa. Wzdychamy kiedy wreszcie wybrukują nam ulicę Supińskiego, Jakóba Strzemię i Długosza. Wyglądają, jak dna wyschłych potoków. Pocieszamy się widokiem pięknie wybrukowanej ulicy Zyblikiewicza a przede wszystkim ulicy Mikołaja. Nie znam się na tej trudnej sztuce, ale wygięta (streamline) w pochyły wachlarz jezdni pod murem uniwersytetu i kościoła robi miłe dla oka wrażenie.

Deszcz i wiatr zrzucają nam mokre liście na głowę. Ale nie czujemy deszczu a wiatr pachnie morzem, chociaż tak od niego jest daleko. Chyba przyniósł go na swoich skrzydłach samolot wracający z Aten.

Wiele nowych, ładnych wystaw sklepowych. Stare, drewniane skrzynie wystaw i wywieszek wyglądają jak budy opuszczone po śmierci właściciela pięćdziesiąt lat temu. Szkoda tylko, że nowe sklepy mają stare nazwy. Novita. Bon marche. A la ville de Paris. Salon de Coiffeur. Czy niema cenzury... od takich głupstw lewatyńskich.

Przerywa mi tetryczenie uczona filozofka. Zawsze się spieszy i zawsze wszystko wie. — Musicie napisać takie marginalia zjazdu filozoficznego w Krakowie. Piękna sala czerwona. Dużo tonzur. Jakby zjazd teologiczny. Często też przemawiali. Chodziło im głównie o logistykę. I że rzeczywistość pomyślana jest taką samą rzeczywistością, jak rzeczywistość dana. Nie było nic szczególnego. Owszem, ład i porządek. Wszelkie zmiany wypisywano na tablicy. Tylko kiedy Rudniański miał mówić o „Zagadnieniu stosunku teorii do praktyki w świetle materializmu dialektycznego“, to w poprzednim odczycie zabierający głos przeciągał dyskusję (choćby zwykle przestrzegano dziesięć minut) tak, że odczyt nie mógł się odbyć w właściwym czasie, a zmiany nie zanotowano na tablicy. Zjazd zakończył prof. Kotarbiński. — Im dłużej żyję tym mniej mam przekonania — powiedział. — I jaki trudny jest żywot wolnomyśliciela w Polsce.

— Ba, stara historia. Nawet w słonecznej krainie filozofów biednego Protagorasa, który powiedział, że nie wie, czy są bogowie, czy ich niema i że nic nie wie o ich naturze, skazano na wygnanie. Książki jego spalono na stosie. Tak! I zażądano, aby każdy, kto posiadał egzemplarz jego prac, rzucił go na stos. A biedny Protagorasa, który miał coś osiemdziesiąt lat, zanadto darmerja wodna ściągała na wodach ateńskich. Płynął w łódce, a była silna fala. Zatopiła go.

— Dobrze, ale to było więcej jak 2 tysiące lat temu.

— Co do mnie, myślę, że i dwadzieścia tysięcy lat będzie mało, nim się przestanie palić książki i ściągać ludzi mówiących, że nie wiedzą jak naprawdę jest z naturą rzeczy.

Anna Kowalska

Sprawa „Sygnałów“

Spowodu nieprzewidzianych trudności technicznych, niezależnych od wydawnictwa, numer poprzedni (22) „Sygnałów“, który powinien był się ukazać dnia 1 października br., miał się wyjątkowo opóźnić o dwa dni. Naskutek tego wydawca „Sygnałów“ otrzymał dnia 1 X br. następujące zarządzenie starostwa grodzkiego we Lwowie:

Starostwo Grodzkie Lwowskie
L. Pol. B. a/5/1/8/36

We Lwowie, dnia 1 X. 1936.

Do

Pana Karola Kuryluka

Wydawcy czasopisma „Sygnały“

we Lwowie

ulica Szaszkiewiczza 4.

Na zasadzie § 11, ustęp pierwszy ustawy prasowej z 17/XII. 1862 Dz. P. p. Nr. 6 ex 1863 zawieszam wydawnictwo czasopisma p. t. „Sygnały“ z powodu nieprzebiegania zgłoszonych perjodycznych terminów ukazywania się czasopisma.

Od tej decyzji służy prawo wniesienia odwołania do Urzędu Wojewódzkiego przez Starostwo Grodzkie do dnia 14 licząc od dnia następnego po dniu doręczenia niniejszej decyzji.

Odwołanie niema mocy wstrzymującej.

Za Starostę Grodzkiego
KIRSCHNER FRANCISZEK
Wicestarosta Grodzki

Wobec tego wydawca wniósł odwołanie z wyjaśnieniem przyczyn, uniemożliwiających terminowe ukazanie się numeru październikowego „Sygnałów“. Odwołanie zostało uwzględnione. Dnia 10 października br. wydawca „Sygnałów“ otrzymał następujące pismo lwowskiego starostwa grodzkiego:

Starostwo Grodzkie Lwowskie

We Lwowie, dnia 10 X. 1936 r.

L. Pol. B. 5/1/48/1936 r.

Do

Pana Karola Kuryluka

Wydawcy czasopisma „Sygnały“

do rąk zast. prawnego Dra Stanisława Dregiewiczza —

adwokata

we Lwowie

ul. Szopena 1. 4.

Na zasadzie postanowień § 11. ust. ostatni ustawy prasowej z 17 XII. 1862 r. (Dz. P. P. Nr. 6 ex 1863) przyjmuję do zatwierdzającej wiadomości doniesienie o nieprzewidzianych przez wydawnictwo przeszkodach technicznych, uniemożliwiających terminowe przedłożenie bieżących egzemplarzy obowiązkowych czasopisma „Sygnały“ przy równoczesnym ponownym zgłoszeniu dalszego wydawania tego miesięcznika z tem, że bieżący egzemplarz obowiązkowy czasopisma zostanie w najbliższych dniach przedłożony Starostwu Grodzkiemu i na przyszłość wydawnictwo przestrzegać będzie oznaczonych terminów perjodycznego ukazywania się pisma.

Starosta Grodzki

STANISŁAW POREMBALSKI

Sprawa zawieszona „Sygnałów“ wywołała silny odzew w prasie i w opinii publicznej całej Polski.

Wszystkie niemal wybitniejsze pisma polskie bez różnicy poglądów i kierunków politycznych stanęły zgodnie w obronie „Sygnałów“ i wolności prasy.

Dziękujemy gorąco za przyjazne i koleżeńskie stanowisko szczególnie redakcyjom następujących pism: „Robotnik“, „Kurjer Poranny“, „Czas“, „Trybuna Robotnicza“, „Wiadomości literackie“, „Epoka“, „Warszawski Dziennik Narodowy“, „Dziennik Popularny“, „Lwowski Ilustrowany Ekspres Wieczorny“, „Tydzień Robotnika“, „Piast“, „Prosto z mostu“, „Chwila“ — i innym.

Wyjątek stanowił „Dziennik Polski“ we Lwowie. Jednak charakter i poziom artykułów tego pisma o „Sygnałach“ nie pozwalają nam na jakąkolwiek dyskusję.

Równocześnie ostrzegamy, że wszelkie kłamstwa, oszczerstwa i denuncjacje, rozgłaszane ustnie lub drukiem o „Sygnałach“ lub o ich współpracownikach będziemy ścigali sądownie.

Zespół „Sygnałów“

„GAZY ZIEMNE“

SPÓŁKA AKCYJNA
DLA PRZEMYSŁU
NAFTOWEGO

wytwarzają na nowoczesnych amerykańskich urządzeniach destylacyjnych:

BENZYNĘ

NAFTĘ

OLEJE SMAROWE

OLEJE SAMOCHODOWE

„Finish Oil“

i wszelkie inne produkty naftowe — w najwyższej jakości emulsję benzynową wg. patentu Prof. Dra Pilata — do wyrobu mydła benzynowego

CENTRALA:

LWÓW, UL. AKADEMICKA 7

FRAGIZM WOLNOŚCI

Kazimierz Wierzyński: Wolność tragiczna Lwów-Warszawa, Książnica-Atlas.

Obóz państwowy doczekał się wreszcie tego, czego żądał od pisarzy Kaden — uwiecznienia w słowie nowej rzeczywistości polskiej. Były w tym kierunku czynnione próby, ale utwory tego rodzaju, wychodzące spod pióra poetów gorzszego autoramentu były dziwnie blade i anemiczne. Entuzjazm ich był zbyt urzędowy, zbyt koniunkturalny, toteż poważna krytyka nie była tego rodzaju twórczością zbyt zachwycona. Utwory tego rodzaju kompromitowały nietylko twórców, ale często i tych, którzy stwarzali zapotrzebowanie tego rodzaju natchnień. „Wolność tragiczna” to pierwsza i pewnie jedyna próba tego rodzaju, przyznać trzeba, udana pod każdym względem. To, co nie udało się pokoleniu, które Polskę „zastało gotową”, spełnił poeta, który nietylko na powstanie nowej rzeczywistości patrzył, ale brał sam czynny udział w jej tworzeniu.

Wielki poemat Wierzyńskiego nie jest jednak jedną z agitek czy dytyrambów o państwie i wszystkich szczęśliwościach, które wpływają na naród z racji jego istnienia. Patoś, którym te świetne wiersze nabrzmiały, nie brzmi radośnie. Sam tytuł wskazuje na tragizm wreszcie tego, który najsilniej na odzyskaniu tej wolności zaważył. Jest to poemat o największym Polaku naszych czasów — Piłsudskim. Bo nikt dzisiaj w Polsce nie zaprzeczy, że właśnie Piłsudski był największą indywidualnością naszych czasów, które w naszym prawdziwie wielkim ludzi nie obfitują. „Wolność tragiczna” jest krystalizacją mitu Piłsudskiego, mitu, który stał się legendą od razu z chwilą Jego śmierci. Było to tem łatwiejsze, że Piłsudski całym swym życiem należał do przeszłości. Dzisiejsi „wodzowie” w Europie wyglądają inaczej niż wyglądał ten szlachetny socjalista, najpierw wódz „partji” z 63-go roku a potem armii.

Poemat Wierzyńskiego wywodzi się z wielkich tradycji romantycznych. Z tej tradycji wywodzi się bodaj cały obóz poetycki „Skamandra”, propagujący kult romantyków, a zwłaszcza najromantyczniejszego poety polskiego — Słowackiego. Czy nie Słowackiego przypominają nam takie strofy z „Wolności tragicznej”?

Nie dam wtedy pardonu. Kto odstąpił niech zginie.
Jak zbójcę zesłań na was wyrok po wyroku.
Napadnie was złoczyńca i w ciemnej jaskinie
Strąci, przekłnie i zniszczy. Uduście się w mroku.

Jeśli to będzie szatan — będzie sprawiedliwy,
Jeśli anioł — miecz włożę do ręki cheruba.
Konie moje, zarzycie! Wysoki i mściwy,
Skazuję was na wielkość. Bez niej zewsząd zguba.
(„Wyrok pośmiertny” str. 58)

Te romantyczne wiersze mogą być zrozumiałe tylko w Polsce, dla której poezja była przez długie lata niewoli polityką rządu, ciągłością historyczną. Dlatego wydać mi się, że książka Wierzyńskiego jest zarazem najbardziej reprezentacyjną dla pokolenia odchodzącego, przełomowego. Pokolenia, którego młodość tkwi jeszcze duchowo w czasach spisków, marzeń i walki. Stąd wypływają różnice pomiędzy tem pokoleniem a pokoleniem następnym, którego dzieciństwo zastało już tę wymarzoną Polskę, „zrobioną” tak rekami jak i myślą pokolenia poprzedniego. Ale to pokolenie nie rozumie już, nie współżyje i nie może współżyć tak blisko z dawną romantyczną wizją Polski, bo wizja dlań już nie istniała. Nigdy nie rozumiałem tej różnicy tak wyraźnie, jak podczas ostatniej rozmowy, którą miałem z wielkim poetą Kazimierzem Wierzyńskim. Rozmawialiśmy o rzeczywistości współczesnej. Wierzyński oburzał się na moją dawną recenzję z „Wesela”, którą przypadkowo czytał, gdzie napisałem, że trudno marzyć młodemu chłopcu o polskiej kosie, kiedy ma już w rekach polski karabin. że prosto przewodnia idea „Wesela” jest dla nas tak samo przestarzała jak sławne już dzisiaj słowa Konopnickiej „Nie będzie Niemiec pluć nam w twarz”. Są prosto w wolnej Polsce inne, ważniejsze zagadnienia. Ale zrozumiałem też wtedy, że ludziami, którzy od dzieciństwa żyli w innej atmosferze, sprawa zrealizowanej wolności mającej ciągle z oddali i że ludzie nie potrafią już jak my zrozumieć całej dzisiejszej zwykłości tej sprawy. Dla nas ta wolność jest prosto życiem, czemuś już zupełnie naturalnym. Oni ciągle jakby się nie umieli oswoić z tym faktem. Oni nie mogą zrozumieć, jak może być komuś źle, jak może ktoś narzekać, kiedy dane mu jest żyć w tej wymarzonej Polsce. Dlatego Boy wzrusza się do łez na przedstawieniach „Wesela”. A czy tylko „Wesela”? Zdaje mi się, że prawie cały Wyspiański, że ogromna część romantyków, ba — ostatni romantyk Żeromski brzmi już fałszywie dzisiaj nietylko w naszym uchu, ale i w naszym sercu.

Bo w odzyskanej Polsce zastały nas i zaskoczyły inne już problemy. Bo wiemy, że trzeba ludziom zapełnić nietylko serca, ale i brzuchy. Bo wiemy, że ludziami o pustym brzuchu można zapełniać serca tylko frazesami. Bo wiemy, że wbrew słowom poety mają ogromnie wiele racji ci właśnie, którzy przychodzą wraz z Baryką pod Belweder i którzy powiadają:

Nam raz nareszcie się zachciało
Należać i napaść się do syta.
(„Rozmowa z Baryką” — Pochód — str. 36)

Rozdźwięk pomiędzy poezją a rzeczywistością. Typowy konflikt romantyczny, wiara przerobienia zjadaczów chleba w aniołów. Nasz tragizm wolności opiera się właśnie na tem, co romantyczna postawa Wierzyńskiego odrzuca zbyt łatwo. Nam się wydaje, że wolna ojczyzna zbyt łatwo przechodzi dzisiaj nad tem wyśmiewaniem pojęciem „szarego człowieka”, któremu wolność dała najmniej. Nam się wydaje, że ojczyzna, która tylko żąda i wymaga, jest nazbyt groźną fikcją. Ze nietylko my jesteśmy dla niej, ale i ona dla nas.

Co teraz? Zamknąć wszystko w tych ścianach i nosić
Po pokojach los trudny i ziemię rozległą.
Zdawało się, że wolność to już będzie dosyć,
A to jest tylko tyle, ilu ich poległo.

(„Belweder” — str. — 47)

Ta strofa, w której należy sobie podstawić romantyczną samotność Piłsudskiego w Belwederze, może najlepiej oddaje tragizm pokolenia. Tragizm spełnionych marzeń. Romantyczny samotnik przeciwstawiony całemu narodowi, z którym walczy, od którego wymaga napędzenia, jakim sam jest przejęty. On też wypowiada słowa, które powinny być mottem całego tego tomu: „Ze miłości znaczy w Polsce tyle, co nienawiść” („Kraków” — str. 12). Piłsudski jest osią całego tego poematu, jego postaci, choć nie widzimy jej ani razu, ani jednego jej gestu, wiąże w całość te wiersze. I dla niego jak dla poety, który się w jego stany duchowe wczuwa, dla nich obu ta wolność jest wolnością tragiczną. Ostatni romantyk, który zarazem samym sobą zamknął nieskończoną aż do jego czasów epokę romantyzmu polskiego. Ostatni romantyk wypełnił wreszcie najszczytniejsze hasło romantyzmu — zamienił słowo w czyn, o który modlili się poprzednicy-poeci.

Droga poetycka Wierzyńskiego od przekrwionych wzbuchów młodości, od wierszy, w których niema ani słowa o rzeczywistości polskiej, ani próby jednej zajęcia postawą

społecznej, droga, prowadząca przez marmurowe wiersze „Lauru olimpijskiego” aż do zbudowanego na romantycznych wzorach poematu — rapsodu, do „Tragicznej wolności”, jest tylko pozornie paradoksalna. W najbardziej zielonych wierszach szczęśliwej epoki młodości tkwiły tyle pierwiastków irracjonalnych, „romantycznych”, że tylko wieku dojrzałego potrzeba było, aby mogły się napełnić tą nową, tragiczną treścią lat dojrzałych.

Treść ta wlna jest w formy, o których można mówić tylko z największym podziwem. Klasyczne rymy, przeważnie rzeczownik z czasownikiem, nieskazony nigdzie rytm tych wierszy wskazuje na świetną szkołę, jaką był w ostatnich latach i nie przestał nią być cały „Skamander”. Niebezpieczny zawsze dla wiersza patos, nieunikniony w tego rodzaju poetyckiej wypowiedzi, nie nuży, wymaga tylko wzmoczonego napięcia u czytelnika, wznaga tylko poetycką wartość tego poematu. Bo cały poemat przesycony jest atmosferą prawdziwego tragizmu, bo podziw poety dla Piłsudskiego jest naprawdę szczery i niezalany. Bo czuje się, że sam poeta przeżywał intensywnie wszystkie stany duchowe swego wielkiego bohatera. Widać, że Wierzyński z całą świadomością i poczuciem odpowiedzialności wziął na siebie niełatwe zadanie przedłużenia tego gatunku poezji, który nazywamy w naszym języku „epiką”. Jako poeta chciał w tym poemacie być tem, czem byli dla narodu poeci romantycy. Toteż można sprzeczać się tylko z Wierzyńskim ideologiem — nie poetą. Ale sprzeczkę z ideologiem pozostawiam tym, którzy są do tego bardziej powołani.

Tadeusz Hollender

NOWY POETA

Juljusz Wit, Lampy, poezje, Warszawa, Gebethner i Wolff.

Daleki od wszelkiej fachowości w tej dziedzinie, po stanowiem napisać o tym poemacie — nie jako sprawozdawca zawodowy lub krytyk, ale jako rodak z tej samej krainy duchowej, współświadek źródeł, z których ta poezja bije, jeden z wtajemniczonych i zaufanych, który widział na własne oczy jej przeguby i stawy, gdzie odłuzniała się ona od życia i krajobrazu, ażeby wziąć lot w sferę własną. Łączy mnie z tym poetą nietylko ta sama kolebka krajobrazu, ta sama ziemia i pejzaż, ale, jeżeli istnieje jakaś geografia duchowa, jeżeli w świecie wewnętrznym rozmieszczeni jesteśmy na piętrach i sferach jakiegoś kosmosu, to nasze rubieże sąsiadują gdzieś blisko, nasze światy zanurzone są w ten sam klimat, owiewa nas aura tych samych okolic i krain. Z tej bliskości czerpię prawo do zabrania głosu w sprawie tego poety, prawo a nawet obowiązek świadczania i zeznania, czem mnie ta poezja podbija i ujarzma.

Istota poezji Juljusza Wita, jej specyficzna i gatunkowa odrębność wstępuje może najsilniej, gdy ją zestawimy z polską awangardą poetycką, z którą łączy go zasadnicza postawa poetycka. Awangarda poetycka wywołała instrument mowy spod władzy dawnego frazesu i obiegowego obrazu, oczyściła alfabet poetycki z dawnych filjacji i tropizmów, przestawiła płaszczyznę recepcji na głębsze piętra wrażliwości. Uczyniła to nie tyle pod naporem nowych treści, ile raczej z poczucia nowego gatunku rzeczywistości poetyckiej. Dlatego ta działalność wychodząca z zasadniczych i teoretycznych punktów widzenia była pionierska, była pracą nad przebudową aparatu poezji. Była w niej pasja eksperymentu, ciekawość laboratoryjna, był zachwyt i trema odkrywczey próby i niespodzianki. Awangarda poetycka przygotowała grunt dla nowej generacji poetów, która nadchodzi.

Uważam Juljusza Wita za jednego z sukcesorów drogi awangardowej poezji. Ale awangardowość Wita daleka jest od programowości, daleka od charakteru metodycznego i eksperymentalnego. Jest ona u niego nieuświadomiona premissą, czy niezamierzonym rezultatem, jakimś produktem ubocznym nowej melodii i nowej myśli poetyckiej, nowych jakichś naprawd ust. To, co uderza u Juljusza Wita, to właśnie brak wszelkiej żyłki wirtuozowskiej. Ten poeta nie zna uroku poetyckiej gry i zabawy, jest odporny na pokusy eksperymentu. Jeśli jest jakieś żądło prawdy w miecie o nieubłaganym dyktacie natchnienia, o wierszach, które napadają jak harpie na poetę, jeżeli prawda jest ta ponura i tragiczna wersja o poezji — to tu znajduje ona swój przykład uderzający i niewątpliwy. Daleki od suwerennego opanowania instrumentu od mistrzowskiej igraszki, jest on raczej silny w posłuszeństwie, w tem, że wiernie, z fantazją i zacięcią dosłownością daje świadectwo temu, co mu nałożono, czy będzie to szczęście i błogość, czy ból i smutek. Jest to poeta, który umie milczeć, milcząc niezłomie, dopóki nie usłyszy jedynego w sobie głosu, któremu jest posłuszny. W istocie — ta ciężka, trudna natura, ta zależność od sił, któremi kierować niepodobna, predestynuje na poetę w innym i tragiczniejszym znaczeniu niż piękne mistrzostwo i wirtuozeria szczęśliwszych talentów. Nie chcę przeceniać tego gatunku, ma on swoje granice i niedostatki, ale co mu nieodstępnie towarzyszy, to surowa jakaś i poważna, groźna niekiedy autentyzność. A jednak możnaby zaryzykować twierdzenie, że taka poezja jest właściwie usprawiedliwieniem, istotną sankcją pionierskiej działalności awangardy — kwiatem, który na nią spadł jak na suchą łaskę Aarona. Awangarda wypracowała nowy organ, nową składnię, nowy instrument i oto zjawia się ktoś, kto wciąga ten — zdawało się — sztuczny organ w krwioobieg życia, kto tą składnią mówi prosto, bez sztuki, z natury niejako, dla kogo to nowe słowo staje się własnym krzykiem z głębi serca. Trawestując powiedzenie Engelsa o dialektyce heglowskiej, możnaby powiedzieć, że Wit postawił metodę awangardy, chodząc dotychczas na głowie — na nogi. Ta dawka żywej, gorącej krwi sprawia, że forma awangardowa traci tu swą ezoteryczność, wychodzi z więzy z kości słońcowej i staje się jasna i zrozumiała.

W nowym tomie „Lampy” Wit pozbywa się niemal całego zewnętrznego aparatu i balastu sztuki, rezygnuje ze strofy i częstokroć z rymu, zagłębia się cały w słowo, które do bywa z głębi lśniące i wspaniale błyskiem pierwszego łomu. Każde słowo rodzi się ze swą wagą naturalną, własną kadencją i rytmem i przejęte nabożnie z łona żywiołu, jak owoc, który się sam oddziela od drzewa: z jedną troską, by nic z niego nie uronić i nic własnego nie dodać. Tok tych wierszy jest niekiedy niemal jak rota przysięgi, powtarzana uroczystość za kimś posłusznie i pokornie, z pauzami między słowem a słowem, ma oddech zdyszany od ciężaru i powagi słów.

Osobne studjum możnaby napisać o strukturze poetyckiej rzeczywistości Wita. Jest to świat, w którym symbolizujący proces, nadający głębszy sens i związek sprawom, stał się jakby samoczynnym procesem jego przebiegów i fluktuacji naturalnych. Wszwstko dąży naturalnym sładkiem, własną grawitacją, bez reżyserji autora — do symbolu, do głębszego sensu do mitu. Jest to dziwna i nowa mitologia, w której formułą się te przebiegi, mitologia w świetle której ukazuje się nam piękność świata, lśniące glazurą i blaskiem pierwszego dnia stworzenia. Im prostsza staje się melodia tej poezji, im cieńszym strumieniem płyną słowa, kropla za

kroplą — tem staje się ta struga droższymi, tem bezcenniejszym toczy ona klejnot za klejnotem:

była wiosna
noc wiosna były ciążem
byłaś ze mną
jak nigdy przedemną
byłem w tobie

noc płonęła księżycem
ramionami
ustami
i nie zgasła
aż dzień zakrzył

Dlatego najwyższemu cenniejszo liryczne utwory tego tomu, wiersze miłosne i więzienne o pojedynczej kantylenie, grane na jednej strunie, a w końcu grane bez strun już, jakby w powietrzu, samą melodią rzeczy i przebiegów:

jasny jest świat
za rzeką
za górą:
nocy przejrzyste szkło
otwarty daleko mapą świetlistą
daleki
jakgdyby świat
poraz pierwszy stworzył powieki

w tę noc wtedy w Stróż
śpiewać wychodziłaś na wielki księżyc
ciemna jak brew śpiewaczko

Trudno jest sformułować dyskursywną mową, na czem polega blask i płonąca magia obrazów, któremi pali się wiersz Wita. W samej rzeczy patrzę w jego wiersz jak w spalającą się księgę, transformującą się w ogień i uskrzydloną, jakgdyby tekst stronic wstępował cały w płomień i w końcu sam płonę wraz z niemi szczęśliwie i olśniewająco.

nocą
kiedy ciemno spałaś
ja spać nie mogłem
księżyc świecił mi w twarz;
lis lśniący i rudy
palił gorąco jak ogień

Są tam obrazy i konfiguracje pierwszy raz ziszczone, obrazy wydobyte z nieznanych okolic kosmosu wewnętrznego, są inne wydobyte z ciemnych stron wewnętrznego apokryfów, o dziwnej symbolice, jak fascynujący „Owoc” albo „Fuga”. Tu trzeba by właściwie cytować wiersz za wierszem, ażeby wykazać bogactwo, miąższ bezcenny tej soczystej materji poetyckiej:

ciemny wiatr orkiestruje drzewa
armje fagotów i fatalnych trąb
drzewa trzęsą szumem wieczoru
wyje waltornia
w noc chorą huczącym śpiewem
wyżej
i w głąb

Bruno Schulz

K O R E S P O N D E N C J A

Redakcja udziela odpowiedzi tylko w dziale „Korespondencja” niezamówionych rękopisów zasadniczo nie zwraca prace, umieszczone w „Sygnalach”, nie są honorowane.

St. R. D. Warszawa. Serdecznie dziękujemy. Narazie druk wiersza niemożliwy. Zachowujemy do następnych numerów. Prosimy o pamięć.

Jul. Wiersze nas zainteresowały. Prosimy jednak o inny, lepszy wybór.

St. T. Wojsławice. Fragmentu powieści nie będziemy drukowali. Komplet wystaliśmy.

S. B. Łódź. Oceny wierszy nie podejmujemy się. Należy dużo pracować.

M. Z. Kozemieniec. Artykuł zwróciliśmy. Jest on słuszny w zasadzie, ale zbyt obszerny i za dużo cytatów. Prosimy o inny.

R. W. J. K. Lwów. „Noweli” nie będziemy drukowali. Zdzisław C. Łódź. Wiersze narazie zachowujemy. Prosimy o zapowiedzianą recenzję. Dziękujemy serdecznie za miłe słowa i pamięć.

J. Tr. Świeciany. Wierszy nie będziemy drukowali. Dziękujemy serdecznie za życzenia i miłe słowa. Przesyłamy pozdrowienia.

J. M. Rejowiec. Wiersza nie będziemy drukowali. Przesyłamy również pozdrowienia.

J. Koryc. Wierszy nie będziemy drukowali. Dziękujemy serdecznie za życzenia i miłe słowa.

M. R. „Hiszpanka” nie do druku.

L. L. Łódź. Dziękujemy za życzenia. Artykuł narazie zatrzymujemy.

W. H. Drohobycz. Chcecie wiedzieć, „co” to są Wasze wiersze? Nie wiemy.

ende. Serdecznie dziękujemy za tak miły list i życzenia. Wiersz o „Sygnalach” bardzo się nam podobał i cieszymy się, że macie tak dużo sympatii dla naszego pisma. Pisac warto. Dużo czytać — wielkich poetów i twórców zarówno literatury polskiej, jak i światowej. Prosimy o nowy wybór za jakiś czas. Zaszylamy pozdrowienia.

O. Warszawa. Nie będziemy drukowali. Nie podejmujemy się oceny wierszy.

A. S. Warszawa. Dziękujemy. Fragmentu powieści nie możemy drukować. Jest za obszerny. Prosimy serdecznie o inny.

K. W. Warszawa. Dziękujemy. Z propozycji chętnie skorzystamy.

L. Sz. Warszawa. Za miłe słowa i życzenia serdecznie dziękujemy i zaszylamy pozdrowienia.

ŻYCIE ŚWIADOME

KWARTALNIK POŚWIĘCONY
REFORMIE SEKSUALNEJ

Nr. 3. zawiera artykuły prof. H. Ułaszyna, doc. E. Stołyhowej, M. Boruchowicz, L. Szczepańskiego, dra P. Klinger, inż. H. Jasińskiego, dra A. Morina, K. Müllera, adw. J. Litauera, doc. W. Ormickiego i wielu innych.

CENA I NUMERU ŻŁ. 1.— (48 stron)

Do nabycia w większych księgarniach, kioskach kolejowych lub w Towarzystwie Krzewienia Świadomego Macierzyństwa i Reformy Obyczajów, Kraków, ul. Dunajewskiego 1. 7 — nr. P. K. O. 405.424 (cena w prenumeracie rocznej (4 numery) zł. 3'40 przez P. K. O. pod powyższym numerem.

K O L U M N A S A T Y R Y

M I M O C H O D E M

Granica pomiędzy tem, co wolno, a czego nie wolno staje się u nas coraz bardziej płynna i niewiadoma. Nie wolno wychodzić niepunktualnie „Sygnałom”, tak się przynajmniej okazało, ale wolno „Drodze” i „Buntowi Młodych”. Nikt nie pomyśli również o zamknięciu „Pionu” za to, że wychodzi regularnie, a właśnie główną wadą tego organu urzędowej literatury jest jego nudna regularność. Gdyby „Pion” wychodził nieregularnie, byłoby to jedyne urozmaicenie, na które to pismo stać. Wtedyby można „Pion” zawiesić i znowu odwieść. Może to pomogłoby i zainteresowało czytającą publiczność, bo narazie „Pion” może się skarżyć na wszystko, tylko nie na brak nudnych artykułów.

Wolno również w Polsce wychodzić pisemkom antysemitycznym w rodzaju „Samoobrona Narodu”. Pisemka te mają zwyczaj opatrywać swoje wywieszki rysunkami, które przedstawiają Żydów w pozach strasznych i demonicznych. Żydy występują tam w charakterze szatanów, wampirów, pijawek, rdestów, pasożytów (kalambur „pasożytów” pozostawiam Stanisławowi, Marji Jerzy Lecowi), pajaków, osłów i innych, tym podobnych stworzeń. Poziom tych rysunków jest okropny, ładunek nienawiści, którym są zaopatrzone, wybuchają jednak skutecznie, ponieważ w Polsce idzie wszystkim; byle na niskim poziomie. Okazuje się również, że w szkołach uczy się młodzież miłości bliźniego i wzniosłego hasła równości wszystkich obywateli, ale nikt nie zabrania wymienionym pisemkom wystawiać na kioskach owe wstrętne i poniżające godność człowieka obrazki. Okazuje się zatem, że w Polsce jest jednak demokracja, skoro wolno takie obrazki wystawiać, a nikt nie pomyśli o ich konfiskacie. Przed obrazkami temi staje masowo przedewszystkiem młodzież i ma możliwość rozmyślań i przemyślań organizowania przyszłych awantur. Młodzież ta, po maturze, przejęta ideałami szczytnej nienawiści organizuje potem pogromy w uniwersytetach. Natomiast omalże nie wolno wydawać „Sygnałów”, a „Ligę Praw Człowieka i Obywatela”, która występuje w imię ideałów równości człowieka uważa się za organizację, stojącą na żołdzie Stalina. I nie czynią tego tylko endecy. Nie, przecież podobny zarzut wyszedł także spod pióra „Asa” naszej publicystyki satyrycznej, poety-postępowca, dlatego, że poeta ten nie przeczytał w porę oświadczenia „Ligi”, protestującego przeciw rozstrzelaniu kilkunastu trockistów w Moskwie. Poeta odwołał coprawda swoje oskarżenie, ale z odwołaniem jest tak jak ze znalezionej zegarkiem. Lekkoomyślnie posądzenie zostaje w umysłach czytelników, a zwłaszcza policji zawsze posądzaniem. Lekkoomyślność naszego publicysty to także polska wolność.

Prasę antysemityczną czytają często Żydzi. Widzi się to po kawiarniach. Pewien znajomy aptekarz pożyczal od mojego innego znajomego stale i niezmiennie „Myśl Narodową”. Gdy nie dostał na czas tego tygodnika, narzekał i skarżył się, że pozbawiony jest swojej stałej dawki „opium”. I nawet nie dziwił się takiej poczytności tych pisemek. Żydy, którzy są dzisiaj wszędzie i stale usuwani od wszelkich urzędów, możliwości zarobku, od możliwości nauki, bojkotowani i bici przez silniejszych chamów znajdują w tych pisemkach obrazę swojej własnej, bodaj urojonej potęgi. Wywołują rewolucje, wojny, powstania, rządzą całym światem, są sprężyną wszystkiego. Prasa narodowa stanowczo reklamuje Żydów. Zresztą nie tylko w ten sposób.

Bo jest we Lwowie naprzykład pisemko codzienne, pro-rządowe, ale antysemityczne, które najgłośniej krzyczało z radości po zamknięciu „Sygnałów”, jako jeszcze jednej „żydokomuny”. Wszystko co nie jest endecem i nienawiścią w Polsce nazywa się popularnie „żydokomuną”. Jest to łatwe do znajdźdzące uznanie. Pismo to zajęło się w całej serii artykułów m. i. także pochodzeniem poszczególnych członków „Sygnałów” i wywiodło, że 40% członków grupy jest pochodzenia żydowskiego. Pismo to konsekwentnie opatrywało imię jednego naszego członka — Stanisław w cudzysłowie. Metody i kryteria rasowe są mi obce w klasyfikowaniu ludzi, ale czasem przeciwnik zmusza do zastosowania swojej broni. Kiedy kogoś biją pałką, trudno używać w obronie wikłowej witki. Pismo to, powiedzmy otwarcie, że idzie tu o „Dziennik Polski”, zmusza nas do tego, że imię jednego ze stałych współpracowników tego dziennika, niepodjejrzanego, mickiewiczowskie — Maciej, będziemy opatrywali conajmniej znakiem zapytania. To właśnie będą owe „zaimki żydowskie”, albo raczej żydowskie interpunkcje, jak pisał o „Sygnałach” „Dziennik Polski”. Mianowicie pan Maciej (?), Maciej?, Maciej?... Freudman — jest pochodzenia stuprocentowo żydowskiego, a jest przytem stałym współpracownikiem „Dziennika Polskiego”. Niech nas to nie obchodziło i nie pisaliśmy o tem dotychczas, ale ponieważ „Dziennik Polski” i sam pan Hrabek poruszył tę sprawę w sposób cyniczny, trudno nam nie zwrócić mu uwagi na ten drobny szczegół. Przecież na swem rasowym stanowisku należałoby zachować konsekwencję. Stanisław Salzman uważa się przytem tylko za Polaka i wolno mu tak samo, jak wolno to p. Hrabkowi, którego nazwisko wskazuje na pochodzenie ukraińskie, jak p. Stahlowi, którego pochodzenie jest niemieckie (tak przynajmniej przypuszczamy, choć moglibyśmy okazać także mniej dobre

woli i uczciwości) i wreszcie p. Piszczkowskiego, o którego niearyjskich przodkach także się cośniecoś we Lwowie mówi. Także i pan Freudman, Żyd z krwi i kości, uprawiający rasizm jest dla nas wysoce niesympatyczny. I pomyśleć, że wyliczyliśmy całą redakcję istinno polskiego „Dziennika Polskiego”. Jak z tego widać analiza tego rodzaju może być wysoce pouczająca.

Ogromnie żałuję, że wielki poeta Julian Tuwim nie poświęcił swojej fraszki, drukowanej w jednym z ostatnich numerów „Szpilek” właśnie „Dziennikowi Polskiemu”. A ponieważ poziom „Szpilek” jest za wysoki dla wymienionej tu redakcji „Dziennika Polskiego”, tak, że go ci czytelnicy „Wróblu na dachu” napewno nie przeczytali, zacytuję tutaj tę fraszkę:

NA JEDNEGO I NA JESZCZE PARU

Trudno ślepemu do boju prowadzić hufce,
Niemowie trudno, jeśli speakerem zostaje,
Trudno słoniowi, kiedy zakocha się w mrówce
I mrówce trudno, gdy się słoniowi oddaje.
I trudno także, połknawszy dwa kilo bromu.
Chodzić po linie, nawet gdy się jest cyrkowcem,
Ale najtrudniej — mieć krewnych zrailitów w domu
I być oenerowcem.

A skoro zaszliśmy aż do cytatów z Tuwima, znowu trudno nie zacytować innego wierszyka tego samego poety:

Dość dużo rozumiem i wiem jak na wieszczą,
Lecz jedno wyjaśnić mi proszę.
Dlaczego to „Dziennik Polski” wciąż zamieszcza
Tyle żydowskich ogłoszeń.

Niech się panowie z „Dziennika Polskiego” nie obrażają na Informację Prasową, że im tego wycinka ze „Szpilek” nie posłała bo to już nie było w „Szpilekach”, a zamiast „Dziennika Polskiego” figurowała na tem miejscu nieboszczka „Gazeta Warszawska”. Śmiechu wtedy było wiele i wierszyk poskutkował. I „Gazeta Warszawska” i Żydy przestali się nawzajem popierać ogłoszeniami. Może i „Dziennik Polski” zrozumie, że albo się głosi bojkot ekonomiczny na pierwszych stronach gazety, albo się nie reklamuje żydowskiego handlu na ostatnich stronach i w tekście, bo to niekonsekwentne. „Gazeta Warszawska” przynajmniej przestała. Ale może „Dziennik Polski” nie może poprzestać tylko na katolickich ogłoszeniach, bo nie zapłaci za papier w drukarni. A może „Dziennik Polski” przeniesie się do Poznania... Tylko co tam robi z Freudmanem?

I wierzyć tu prasie narodowej, że Żydy są o tyle sprytniejsi od gojów. Pokażcie mi te gojowskie sklepy, które się ogłaszają w „Dzienniku Polskim”, licząc na jego poczytność. Jest takich tylko kilku, a i ci idą za przykładem Żydów. Widocznie liczą, że jeżeli Żydy ogłaszają się w „Dzienniku Polskim” — musi to być interes. Jaki tam interes. Płacić pieniądze za ogłoszenia w gazecie, którą czytają sceptyczni Żydy, ludzie w Informacji Prasowej i jeden gasnacy emeryt w Mszanie Dolnej. Ah, ci sprytni Żydy. Dziennik bije trzy tysiące egzemplarzy, z którego rozchodzi się w najlepszym wypadku pięćset, („Dziennik Polski” jest na indeksie nieoficjalnej endecji, która ma we Lwowie „Lwowski Dziennik Narodowy”), dziennik głosi potrzebę wyrzucenia Żydów z Polski, a oni dają dziennikowi ogłoszenia i popierają pismo, które głosi potrzebę ich zagłady, zamiast trzepnąć pana Hrabka po kieszeni. Sprytni, przebiegli Żydy. Panowie świata.

Tu także granica pomiędzy tem, co wolno, a czego nie wolno staje się płynna i zatarta. Ach, ci Żydy. Anonimowe mocarstwo, które popiera „Dziennik Polski”. A może to jest celowa robota masonerii i „Dziennik Polski” jest także masonskim piśmie, które w gruncie rzeczy popiera Żydów. Przecież Freudman... Berta Stark, futra Bernfelda...

Pan Bóg raczy wiedzieć. Oczywiście żydowski Pan Bóg.
Tadeusz Hollender

WYKŁAD

O martwym Cezannie Lille mówił pięknym stylem:
Wolałbym, by żywy Cezanne mówił o martwym Lillem.

DAREMNY WYSILEK

Nawet największa granda
nie robi z Mikuly Rembrandta.

KTO TO JEST?

Człek zany i bardzo uczony
Od końca i od początku.
Gdyby jeszcze nie malował,
Wszystko byłoby w porządku.

KITZ I KLAHR

Ten mały chudy szpic:
To Kitz.
A ten co wygląda wie das schwarze Jahr:
To Klahr.

TERENTY PALIGRAF

WAWRZYNOWY DESZCZ (11. XI.)



rys. J. Bickels

Pada sobie wawrzyn, pada sobie równo,
Raz padnie na kwiatek, drugi raz na g...

HISTORIA

Posłuchajcie tu dziejów, których czasy już dnieją,
w roku... przyszłym, pewnością pamiętnym,
we wsi każdej i w mieście wszystkich żydów nareszcie
wyduszono, zniszczono ze szczętem.

Wtedy zaś oczywiście rzekli nacjonalisci,
gdy ostatnią zburzono bożnicę:
— Gdy się stało to dzieło, dalej będzie się różniło.
I wyrzneli w pień całą lewicę.

Wówczas powstał wódz nowy, ten wygłosił przemowę,
by narodu sumienie obudził:
— Jest niedobrze! Dlaczego? Zła przyczyna wszystkiego.
O mój ludu, są rude i rudzi!

A że rudych jest mało, więc ich wkrótce nie stało,
wódz zapału i czasu nie tracił:
— Rudych niema, a zatem, biada, rzekł, piegowatym!
Wyginęli więc i piegowaci.

Lecz lud tęsknił do czynu. — Ludu, wyróżnij blondynów:
a szczęśliwość trwać będzie na świecie!
Po tem hasło do szczętu jasnowłosych wyróżniło,
tak, że sami zostali bruneci.

Potem rżnięto brodatych, kosookich, kosmatych,
chudych, tłustych, podanych do przodu,
łysych, drobnej postury, gdy czas minął niektórzy
tysiąc osób zostało z narodu.

Owych tysiąc prawdziwie żyćby winno szczęśliwie,
pięćset małych i dużych zaś było.
Lecz dwu wodzów wybrali, wielcy swego i mali
i ci różną się zaczęli aż miło.

W końcu onej epoki został — Brunet Wysoki,
co najszczytniej praw ludu obronił,
lecz jedyny ten z ludu wkrótce zabił się z nudów
i już więcej nie słycać nic o nim.

TADEUSZ HOLLENDER

Czytajcie „SZPILKI“

Redaktor i wydawca: KAROL KURYLUK

Redakcja i administracja:
LWÓW, UL. JAKÓBA STRZEMIĘ 8

codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt,
od godziny 18—19

PRENUMERATA:

roczna 5 zł., półroczna 2-60 zł., kwartalna 1-40 zł.
Wpłacać przekazami rozrachunkowemi LWÓW Nr. 1



rys. J. Bickels

WE LWOWIE SZALEJE HRABYK